

# Perzyński Włodzimierz

## MECHANIZM ŻYCIA

### *Powieść*

#### I.

— Ano, trudno... Trzeba będzie sobie w łeb palnąć...

Spokój, z jakim Przeclawski to zdecydował, zbudził w nim uboczne, przelotne uczucie wyraźnego żalu, że tego rodzaju najtajniejsze stany ducha nie mogą mieć świadków, bo wówczas dopiero wszyscy oceniliby jego charakter. Tak się złożyło, że nie dalej, niż dwa tygodnie temu, na zebraniu u Franka Mysłowskiego wywiązała się dyskusja na temat samobójstwa i o mało nie doprowadziła do ostrej kłótni między nim a Mysłowskim, który z ironicznym niedowierzaniem traktował zapewnienia Przeclawskiego, że w razie jakiegoś konfliktu bez wyjścia natychmiast odebrałby sobie życie. I nawet jako przykład przytaczał nieuleczalną chorobę. Nie spodziewał się wtedy, że tak prędko będzie zmuszony poprzeć swoją teorię czynem.

Lekarz trzymał go u siebie dość długo, bo Przeclawski nie umiał ukryć strasznego wra-

żenia, jakie wywarła na nim wiadomość, że się zaraził syfilisem. Oczywiście, starał się go pocieszyć i uspokoić, ale Przeclawski nie dał się przekonać.

Udawał, że wierzy, ale w myśli powtarzał machinalnie: "ty swoje, a ja swoje" i to zdanie kładło mu się na mózg takim jakimś strasznym ciężarem, że chwilami słowa lekarza nie dochodziły mu do świadomości i kiedy, znalazłszy się z powrotem na ulicy, usiłował odtworzyć sobie w pamięci całą rozmowę — dla ścisłości, bo wciąż nie wierzył w argumenty poczciwego staruszka, raz po raz potykał się o czarne luki.

Miał jeszcze przed sobą dwadzieścia minut czasu. Na szóstą umówili się w Saskim ogrodzie z Kazikiem Witeckim i mieli iść do Mysłowskiego, żeby się razem uczyć fizyki na jutrzejszy egzamin. Wszystkie te projekty mogły mieć sens jeszcze przed godziną, teraz jednak Przeclawski już wiedział, że nie będzie zdawał egzaminu z fizyki. Ale nie było także powodu do narażania Kazika na niepotrzebne wyczekiwanie. Przeclawskiemu zależało tylko na tem, żeby się nie zdradzić przed Kazikiem tak, jak przed lekarzem. Nadkładając drogi do ogrodu, zużył dwadzieścia minut na gimnastykę moralną. I wreszcie uczuł się sam z siebie zadowolonym.

— Sam djabeł nic by teraz po mnie nie poznał — mruknął.

Z Kazikiem Witeckim, synem niezamożnego urzędnika, szli razem przez gimnazjum od pierwszej klasy i bardzo się lubili. To też Przeclawski był pewien, że na kim, jak na kim, ale na Kaziku wiadomość o jego śmierci wyrze piorunujące wrażenie. Widział Kazika wystraszonego, zapłakanego... Właśnie nad tem zastanowił się przez chwilę, czy Kazik będzie płakał i doszedł do przekonania — że napewno nie płakał a zarykiwał. Poza przyjaźnią wchodziły tu w grę jeszcze względy uboczne. Kazik kochał się w siostrze Przeclawskiego. W zasadzie Przeclawski uważał to za warjactwo, aby się kochać w takim smarkaczu, w tej chwili jednak żal mu się

zrobiło Witeckiego. Wiedział, że przez swoją śmierć odetnie go zupełnie od domu. Pani Przeclawska wogóle patrzyła na Kazika niechętnie, jako na nieodpowiednie towarzystwo. I Przeclawski stwierdził nagle ze zdumieniem, że dopiero ta myśl o przykrościach, jakie spadną na Kazika, zdołała w nim wzbudzić pierwsze uczucie żalu. Obiło mu się o uszy, że testament samobójcy jest nieważny, ale postanowił napisać gorący list do ojca z prośbą, aby z tej części majątku, którą on sam by kiedyś odziedziczył, wypłacił pewną sumę Kazikowi. Nadkładając drogi, Przeclawski ogromnie się od ogrodu oddalił, Kiedy się zorjentował

była już szósta i musiał pędzić z powrotem, żeby się zabardzo nie spóźnić. Dzień był upalny i Przeclawski, który się łatwo pocił, po kilku minutach miał twarz zupełnie mokrą. Sięgnąwszy po chustkę, natrafił na recepty, których pod wpływem przygnębienia nie schował do pugilaresu, jakby to zrobił normalnie, tylko wetknął niedbale w kieszeń od spodni. Ze złością podarł recepty i wybuchnęła w nim nagle pogarda dla lekarza.

— Idjota z tem swoim pocieszaniem. — Bałwan! Dureń! — wykrzyknął tak głośno, że aż jakieś dwie starsze panie obejrzały się za nim ze zgorzaniem. To go rozśmieszyło. Powtórzył kilka razy z uciechą: "Wystraszyłem baby" — i wrócił myślami do lekarza. Analizując jego zachowanie się chłodniej, widział w nim przedewszystkiem tchórza i człowieka bez charakteru. Wiedział, że gdyby sam był lekarzem, to by postąpił zupełnie inaczej. Ułatwiłby choremu samobójstwo, zapisał jakąś gwałtowną i niebolesną truciznę. — Służę panu. Wymawiając w myśli te słowa, machinalnie poruszył wargami i przybrał uprzejmy, uśmiechnięty wyraz twarzy. Wesoły gwar tłumu wypełniającego ogród układał mu się w uszach w rozkołysany rytm; na chwilę doznawał wrażenia, że drzewa i ludzie kołyszają się do taktu.

— Ale przecież — myślał dalej z powodu lekarza — ludzie z czasem będą musieli dojść do takiego spokojnego traktowania spraw, które pozornie wydają się straszne.

Witecki czekał już na niego w ogrodzie. Siedział na ławce i czytał książkę. Swoją drogą, to był dziwny mól. Nie umiał chwili przeżyć bezpośrednimi wrażeniami. Zawsze musiał coś czytać, a jeżeli mówił, to o tem tylko, co czytał. Z Zośką nigdyby się nie dogadali — uśmiechnął się Przeclawski. I zwolnił kroku, żeby podejść jaknajnaturalniej, niedbale. Zresztą był już pewien swego wyglądu. Z mglistem uczuciem, które ciągnęło się od złośliwej uciechy do roztkliwienia, odtworzył sobie w jednym błysku wyobraźni jutrzejsze rozmowy w gimnazjum, wciąż w kółko powtarzane zapewnienia Kazika i Mysłowskiego, że widzieli go na godzinę przed katastrofą i niczego nie można się było domyśleć, absolutnie niczego. Taki był, jak zawsze, może nawet w lepszym humorze.

Witecki podniósł oczy od książki i kiwnął mu głową z tym swoim jakgdyby protekcyjnym uśmiechem, który w najwyższym stopniu drażnił matkę Przeclawskiego. Przeclawski bronił przyjaciela i tłumaczył jej, że to złudzenie. Kazik nie był ani zarozumiały, ani protekcyjny, zwłaszcza u nich w domu nie

mogł się uważać za nic wyższego, tylko poprostu miał tego rodzaju uśmiech i nie mógł składu twarzy przerobić.

— Zdaje mi się, że już po szóstej — odezwał się, składając starannie rozlatującą się na wszystkie strony książkę.

— Kilka minut.

— Chodźmy.

Ławka była zatłoczona i ledwo Witecki wstał, wszyscy rozsunęli się odrazu.

Miejsce, które zajmował, znikło. Przeclawskiemu przyszło na myśl, że tak samo

będzie z jego miejscem w życiu. Kilka kroków uszli w milczeniu.

— W domu byłeś do tej pory? — zapytał go nagle Witecki.

— W domu.

— Czy panna Zofja pojutrze wyjeżdża?

— Napewno nie wyjedzie — pomyślał Przeclawski, ale głośno odparł:

— Wyjeżdża.

— To ja przyjdę jutro się pożegnać.

— Przyjdź.

I znów w myśli dokończył:

— Ładne piekło zastaniesz...

Witecki podniósł nagle na niego wzrok i zaczął mu się przyglądać z widoczną uwagą. Przeclawskiego to zmieszało. Szybko wyciągnął chustkę i z pewną przesadą w ruchach zaczął

wycierać twarz, chcąc, jeśli w wyglądzie jego było coś nienaturalnego, spędzić to na gorąco.

— Piekielny upał — mruknął. Chciałbym już być na wsi.

— Ale tobie coś jest?

— Mnie? To ci się uroiło.

— Tak wyglądasz, jakbyś miał gorączkę.

— Ii...

Przeclawskiego ogarnęła nagle głucha złość na kolegę. Kiedy wyobraził sobie, że mógłby przez szereg godzin siedzieć z nim i Mysłowskim w ciasnym pokoiku, gdzie stały trzy żelazne, wiecznie rozbabrane łóżka i przeplatać kucie fizyki słuchaniem głupich, dowcipów Mysłowskiego, uczuł, że to przerastało jego siły. I zresztą — poco? W ciągu dwóch czy trzech godzin, które mu pozostawały jeszcze do przeżycia, miał chyba prawo do tego, żeby go już nie nudzono i nie denerwowano. Ale nie chciał zwracać uwagi Kazika zbyt gwałtowną zmianą postanowień.

— Owszem — odezwał się po chwili — ty chyba masz rację.

— Chory jesteś?

— Sam nie wiem. Po południu zaczęła mię boleć głowa, myślałem, że mi zaraz przejdzie, ale zaczyna mię boleć coraz bardziej.

— Może z gorąca?

— Może.

— Wstąpimy do apteki i weź sobie proszek.

— Nie, nie. Ja w te świństwa nie wierzę. Wolę wrócić do domu.

— Do domu nie masz potrzeby wracać.

— Kurs umiem i już niewiele mi przyjdzie z powtarzania. Wolę wypocząć, żeby mieć jutro świeżą głowę.

— To możesz się nie uczyć, tylko siedzieć z nami.

— Nie. Dowidzenia.

I odwrócił się, uściskawszy pośpiesznie Witeckiemu rękę.

— Wstąpię wieczorem dowiedzieć się — krzyknął za nim Witecki.

— Nie. Dziś nie przychodź. Jutro. Przestraszyła go przenikliwość przyjaciela.

Widocznie nie panował dostatecznie nad sobą. Praktycznie nie miało to najmniejszego znaczenia, bo tak samo w domu mógł swój wygląd wytłómaczyć bólem głowy i przemęczeniem, a zresztą — przyłapał się nagle na niekonsekwencji uczuć

— gdyby nawet matce wydało się, że jest ciężko chory — to cóż z tego. Chwilę znajdzie. Ale wstyd ma było słabości wobec samego siebie. Zaraz jednak zbudziła się w nim zawziętość. Skoro Kazik coś zauważył, to należało dalej się ćwiczyć, aż do zupełnego opanowania. Zaciśnął zęby, wyprostował się

i postanowił uważać, żeby nie przyspieszać machinalnie kroku.

Rodzice Przeclawskiego od kilku lat nie żyli ze sobą. Dzieci wiedziały, że ojciec miał drugie mieszkanie w Warszawie, ale o tem się nie mówiło nigdy, bez zakazów, tylko przez jakąś intuicję. Odwiedzały ojca w hotelu, kiedy przyjeżdżał ze wsi, a raczej, kiedy im dawał znać, że przyjechał, bo bardzo często bywał w Warszawie i nie zawiadamiał ich o tem i — czasami jeździły na krótko na wieś. Wakacje spędzali w niewielkim majątku, który stanowił osobistą własność matki. Przeclawski nie lubił ojca. Jeżeli starał go się usprawiedliwiać w duszy, to tylko dla pewnej zasady — żeby mieć o wszystkich rzeczach sąd spokojny i męski. Wracając do domu, z wielkiem zaciekawieniem myślał o tem, jak ojciec przyjmie wiadomość o jego śmierci.

— Bo to już niedługo — błysnęło mu w głowie i prześlizgnęły mu się jakieś iskierki po żebrach, jak dwa dni temu na egzaminie z matematyki, kiedy przednik jego kończył już odpowiadać i on się zbierał, żeby wyjść do tablicy. W mieszkaniu nie zastał ani matki, ani rodzeństwa. Drzwi otworzyła mu pokojówka Marysia i od razu przezornie uskoczyła w tył. Po tem mógł poznać, że oprócz służby nikogo

nie było w domu. Przeclawskiemu bardzo się ta dziewczyna podobała. Służyła u nich od czterech miesięcy i atakował ją przy każdej okazji, które zresztą w ruchliwym mieszkaniu nie trafiały się zbyt często, ale zawsze na próżno. Marysia miała narzeczonego szewca i dochowywała mu wierności. Była to wysoka, szczupła dziewczyna z długimi, muskularnymi nogami. Zresztą łatwo się męczyła, jak to mógł nieraz zauważyć, kiedy obserwował ją przy sprzątaniu.

— Jak u pełnej krwi, wszystko w niej poszło w nogi — myślał i to skojarzenie w jakiś dziwny sposób podniecało w nim zmysły. Marysia nie wyglądała na naiwną dziewczynę. Miała wyraz oczu bardzo chytry i czasami z widoczną złośliwością kokietowała Przeclawskiego.

— Nikogo niema? — zagadnął ją, oczywiście tylko dlatego, żeby ją zatrzymać chwilę przy sobie.

— Pani wyszła z panienką, a panicz z kolegami.

— A nie wiesz, dokąd pani poszła?

— Skąd ja mogę wiedzieć, czy to pani mi się opowiada.

— Myślałem, że panienka mówiła — przedłużał rozmowę i nieznacznie zbliżał się do Marysi. Dopuszczała go do siebie, ale kiedy gwałtownym ruchem ręki chwycił ją nagle

za biodro, odepchnęła go tak gwałtownie, że aż się zatoczył.

— Jak ty śmiesz!... wybuchnął, ale Marysia nie przestraszyła się wcale.

— A ty jak śmiesz — odpowiedziała mu hardo, mierząc go wyzywającym spojrzeniem. Jędrne, kształtne piersi znaczyły się jej wyraźnie pod bluzką i tak mu się podobała, że zapomniał o obrażonej godności.

— Nie wiedziałem, żeś taka mocna — usiłował obrócić wszystko w żart.

— Jak potrzeba, to jestem.

— I prześliczna.

— Dobrze, dobrze, — mruknęła drwiąco i uciekła z przedpokoju.

W ciągu tych dwóch czy trzech minut z Marysią Przeclawski zapomniał zupełnie o samobójstwie. I nagle znów się ocknęła ta myśl, spadła w mózg, jak ostra lodowata sopla. I zarazem wydało mu się, że znalazł wytłomaczenie nieszczęścia w uporze Marysi. Przecież, gdyby nie ten jej tępy opór, nie skusiłaby go uliczna dziewczyna. Nienawiść wzbierała w nim z taką siłą, że jeszcze sekunda, a byłby się może z jakimś dzikim krzykiem rzucił do kuchni i zaczął bić pokojówkę. Ocuć go dzwonek matki. Marysia znów mu się przesunęła przed oczami. Niewypowiedzianie podobał mu się kolor jej włosów z leciuteńkim rudawym od-

cieniem. I kiedy na nią patrzył, nienawiść połączyła się w nim z gwałtownym zmysłowym pożądaniem. Przysiągł sobie, że musi ją mieć przed śmiercią i zarazić. I ucieszył się z zemsty.

— Niech zdechnie, niech zgnieje — powtarzał ze złośliwą radością. O przebiegu syfilisu nie miał pojęcia i w rozgorączkowanej chorobliwej fantazji widział Marysię pokrytą najstraszliwszymi wrzodami. I obraz ten sprawiał mu rozkosz. To jej się należało za karę za podłość. Cóż znaczyła śmierć jakiegoś kuchennego popychadła wobec tego, że on musiał ginąć.

Matka była mniej spostrzegawcza od Kazika. Nie zwróciła uwagi na jego wygląd. Wieczór przesnuł się zwykłym trybem. O dwunastej wszyscy już spali. Przeclawski zgasił w swoim pokoju lampę i siedział na łóżku po ciemku. Za jego pokojem, który miał drzwi na długi korytarz, prowadzący z jadalni do kuchni, była łazienka, a za nią pokój służbowy. Ciasna klitka, w której ledwo się można było przesunąć między łózkami. Tam sypiała Marysia w towarzystwie kucharki Aleksandry.

Przeclawski przeklinał Aleksandrę i marzył zawsze o tem, żeby jakiś nagły i niespodziewany wypadek zmusił ją choćby do kilkudniowego wyjazdu na wieś. W tej

chwili jednak pod wpływem najgłębszego przekonania, że już mu niewiele godzin pozostawało do życia, przestał się liczyć ze wszelkimi względami. Śmiało wszedł do służbowego pokoju i pochyliwszy się nad łóżkiem Marysi, poruszył ją za ramię. Księżyc świecił prosto w szyby i w pokoju było zupełnie widno. Marysia ocknęła się gwałtownie. W oczach jej odmalowało się przerażenie, potem podziw i wreszcie się uśmiechnęła. Widocznie zaimponowało jej zuchwalstwo Przeclawskiego i lldedy jej dał znak, ażeby szła za nim, posłusznie poszła.

Aleksandra spała, jak zabita.

Zaspokoiwszy zmysły, Przeclawski momentalnie zasnął. I przyśniło mu się, że do pokoju wszedł jakiś dziwny jegomość, przeraźliwie blady, chudy, pajacowaty, w krótkiej wytartej marynareczce. Przeclawski przyglądał mu się ze zdumieniem i nagle go poznał. — A, to pan Skrętek. Gość kiwnął mu przyjaźnie głową i zaczął przewracać papiery na biurku. Tak zabawnie przebierał nogami, że Przeclawski się uśmiechnął. Przypomnił mu się jakiś wierszyk, którym go niańka jeszcze bawiła "za góreczką siedzi zając i łapkami przebierając". Podeszedł do stołu, żeby ułatwić gościowi poszukiwania, ale pan Skrętek go odsunął. — Nie, nie, nie, już ja się sam u pana doskonale

rozgospodaruję — roześmiał się chrapliwym głosem. I w tej chwili znikł. Wszystko rozplynęło się w ciemności. Przeclawski doznał wrażenia, że on sam również przestał istnieć i roztopił się ciemnością. Mimo to czuł i myślał. W oddali nagle wykwitł owalny krąg światła, w którym ukazał mu się nowy obraz. Pan Skrętek prowadził za rękę młodą, roześmianą dziewczynę i popchnął ją w objęcia wysokiego przystojnego chłopca. W tej chwili Przeclawski się obudził. Na dworze już świtało. Maryśka ześlizgnęła się z łóżka i uciekła do swego pokoju. W dwa tygodnie potem wyszła zamąż.

## II

Panna Czesława Rośnicka, kasjerka w sklepie z materiałami piśmiennymi stała we drzwiach i wyglądała na ulicę. Tak się złożyło, że była w sklepie sama.

Właściciel pan Jan Sobieszczak, poszedł do banku wykupić jakiś weksel, a jego pomocnik głupi i arogancki ośmnastoletni wyrostek pan Józio, korzystając z tego ulotnił się po chwili do sąsiedniej owocarni, gdzie prowadził ognisty flirt z jedną z panien. Krótka samotność przyniosła starganym nerwom panny Czesławy wielką ulgę. Od samego rana panowała w sklepie atmosfera podniecona i burzliwa.

Pan Sobieszczyk przyszedł zły i wszystko go tego dnia drażniło, nawet rzeczy, które naogół wpływają raczej dodatnio na rozjaśnienie humoru ludzkiego jak to, że po kilku tygodniach zimnej, dżdżystej i zdawało się już zupełnie ustalonej jesieni nastąpił nagle jakby powrót do lata. Dla pana Sobieszczyka był to

jednak nowy dowód tego powszechnego braku ładu i sensu, który według jego opinii ciążył nie tylko nad czynami ludzkości, ale i nad zjawiskami wielkiej wojny. I kiedy panna Czesława otworzyła na chwilę drzwi, chcąc dać wolniejszy dostęp słońcu i ciepłu do mrocznego wnętrza sklepu, zatrzasnął drzwi z taką furją że o mało nie powybił szyb, zawieszonych kolorowymi pocztówkami i poprostu zrobił jej awanturę. Panna Czesława zachowała się z taktem wobec tej ordynarnej i niczem nieusprawiedliwionej szykany zwierzchnika, ale przez jakieś dziesięć minut musiała całą siłą woli panować nad sobą, żeby się nie rozplakać. Szczęściem dla niej nikt nie wszedł do sklepu przez ten czas, bo czuła, że gdyby otworzyła usta dla wypowiedzenia choćby jednego wyrazu od razu płacz by ją porwał. Zresztą ten wybuch Sobieszczyka nie był odosobnioną impertynencją, poprzedził go cały szereg innych, mniej hałaśliwych, ale nie mniej dokuczliwych i obrażających. W ciągu czterech lat pracy w sklepie, panna Czesława mogła dostatecznie poznać przykry charakter swego chlebodawcy, jednakże to co ją spotkało tego dnia, przewyższało już wszystko. Poczowała, że nadszedł kres i że będzie musiała poważnie pomyśleć o zmianie niejsca, bo w firmie życie stawało się nie do zniesienia. Panna Czesława nie mówiła i nie myślała

nawet nigdy w "sklepie" tylko zawsze w "firmie", był w tem dla niej pewien odcień, który we własnym jej pojęciu wywyższał ją trochę socjalnie. Po wyjściu Sobieszczyka pan Józio uśmiechnął się zjadliwie i wykrzywiając w błazeński sposób twarz, odezwał się do kasjerki.

— Ale wściekły.

Panna Czesława nie lubiła Józia, a zwłaszcza nie znosiła, gdy zwracał się do niej z tym błazeńskim grymasem. Widziała w tem uchybiającą jej poufalskość. I zazwyczaj nie odpowiadała mu w takich razach. Teraz jednak nerwy jej napięte do najwyższego stopnia potrzebowały jakiegoś odprężenia w rozmowie. Starła się jednak zachować należyty dystans. Odparła z akcentem nie tylko sztucznego spokoju, ale nawet pewnej pobłaźliwości.

— Nie rozumiem co mu się stało. Józio roześmiał się hałaśliwie.

— Musiał od tej swojej małpy dostać po pysku.

— Ona go bije? wyrwało się machinalnie pannie Czesławie.

— Jeszcze jak.

— Ohydne — szepnęła z nieopisanym obrzydzeniem.

Józio wzruszył ramionami,

— Przyzwyczał się, nieboszcza także go tłukła.

— Nieprawda.

— Co pani opowiada, cała kamienica o tem mówiła. Mało razy tam byłem.

— I wiedzieli w kamienicy?

— Ludzie wszystko zawsze wiedzą — odparł sentencjonalnie Józio. Ziewnął i mruknąwszy "Ja za chwileczkę wrócę" — znikł za drzwiami.

Po ciągłym napięciu nerwów, pierwsze pięć minut samotności dało pannie Czesławie wrażenie niewypowiedzianej poprostu błogości. Roztworzyła szeroko drzwi i mrużąc oczy podstawiła twarz pod słońce. Odczuwała ciepło jak pieczętę i ta zmysłowa przyjemność opanowała ją do tego stopnia, że gdy po chwili odurzenia przepłoszyła ją nagle myśl, że ludzie patrzą, a ona robi miny, cofnęła się w głąb sklepu z takim uczuciem, jak gdyby dopuściła się na oczach ludzkich jakichś rzeczy wstydlivych i nieprzyzwoitych.

Panna Czesława miała już lat trzydzieści ośm i nie mogła zrozumieć dlaczego nie wyszła za mąż. Nie była brzydka. Pulchna blondynka o zadartym nosie, konopiastych włosach i czerwonej cerze posiadała wulgarny typ słowiańskiej urody. Mężczyźni nie tylko oglądali się ale i zaczepiali ją na ulicach, klienci

w sklepie uśmiechali się do niej, wielu wdawało się odrazu w rozmowy a nie brakło i takich, którzy pragnęli przedłużyć znajomość i wyczekiwali na nią wieczorem przed zamknięciem sklepu. Jednakże nad tem jej niewątpliwem powodzeniem ciążyła szczególna fatalność. Zapał każdego mężczyzny, który się do niej zbliżał wyczerpywał się bardzo szybko i po dwóch, trzech spotkaniach, jakichś spacerach, wieczorze w kinematografie, kolacji w gabinecie tańszej restauracji, uwodziciel a raczej dopiero kandydat na uwodziciela ginął bez śladu. Dobrze było, jeśli zobaczywszy ją kiedyś później na ulicy składał jej zdaleka i jakby od niechcenia ukłon, oznaczał nie przywitanie, ale wyraźną prośbę o zapomnienie. Panna Czesława musiała stwierdzić, że jej siła przyciągająca w stosunku do mężczyzn równała się odrażającej, ale zamknięcie tego zjawiska w tak ścisłej już jakby naukowej formule nie tłumaczyło go jeszcze. Wśród różnych teorii, jakie sobie tworzyła, najbardziej przypadło jej do upodobania podświadome promieniowanie instynktu czystości kobiecej. Było to w okresie, kiedy w chaotycznych lekturach wypożyczanych we wszystkich warszawskich czytelniach książek odkryła podświadomość i zaczęła się nią upajać do tego stopnia, że nabrała bezbrzeżnej pogardy dla

każdej jasnej i wyraźnej myśli. Niestety życie zadało szyderyczy kłam tej teorii, według której mężczyźni, wyczuwając, że taka kobieta jak ona mogła być tylko żoną i matką, nie ośmielali się chcieć zrobić z niej kochanki, bo w tom właśnie czasie straciła dziewiczość. Uwodziciel przestał ją znać na drugi dzień. I przed panną Czesławą znów zostało otwarte, dręczące zagadnienie dlaczego nie potrafiła nikogo trwale przywiązać do siebie i wyjść zamaż.

W rzeczywistości zrażała mężczyzn tem, że natychmiast zaczynała mówić o małżeństwie.

Jedno z ostatnich przykrych rozczarowań przeżyła z właścicielem sklepu. Pan Sobieszczaak, który przed kilku miesiącami owdowiał, zaczął jej się nagle pewnego dnia niesłuchanie czule przyglądać i wogóle tak zachowywać, jakgdyby był nią bardzo zajęty. Wieczorem na pół godziny przed zamknięciem sklepu zwolnił Józia, który w lot zrozumiał czemu to zawdzięczał i wychodząc, pożegnał pannę Czesławę beczelnym, złośliwym uśmiechem. Ona nie zwróciła już jednak na to najmniejszej uwagi. W jednej chwili zapomniiała o wszystkich zawodach, jakich doznała od mężczyzn, o wszystkich teoriach równowagi siły przyciągającej i odrażającej i uwierzyła, że w życiu jej następuje szczęśliwy, decydujący

zwrot. Przepelnione tęsknotą do miłości jej serce odrazu odpowiedziało w zmysłowe zaciekawienie pana Sobieszczaaka, gotowością do jaknajwiększych uczuć. Z radosnym niepokojem oczekiwała tego co miało nastąpić.

Pan Sobieszczaak objął ją wpeł, przycisnął do siebie i odezwał się z jakimś mrukliwym śmiechem.

— Tyle czasu na panią patrzę, a dziś wydała mi się pani jakaś zupełnie inna. Panna Czesława rozanielona, zamiast odpowiedzi oparła mu głowę na piersiach. Czekala czułych słów, jakiejs pieśni nad pieśniami, która nieraz w marzeniach snula jej się po duszy bez słów, a tylko jako szereg mglistych dźwięków. Pan Sobieszczaak miał jednak prozaiczniejszy stosunek do życia. Odezwał się przysuwając jej rękę wzdłuż po plecach.

— No to może się zabawimy.

I zabrał ją do dancingu na kolację. Siedzieli do trzeciej w nocy. Sobieszczaak

wciąż był czuły i gorący — w miarę podniecania się alkoholem nawet coraz gorętszy, ścisnął jej pod stołem nogi i musiała mu przyrzec, że nazajutrz przyjdzie do niego na noc do mieszkania. O małżeństwie nic prawie nie mówił, ale wracając do domu panna Czesława nawpół przytomna uważała się już za jego żonę. Podniecenie wybiło ją najzupełniej ze

snu. Nawet się nie kładła, tylko przesiedziała resztę nocy przy stole, snując tkliwie marzenia o przyszłym szczęściu.

Sobieszczak przyszedł do sklepu dopiero koło południa. Miał tak zły i ponury wygląd, że zmroził od razu uśmiech, jakim panna Czesława chciała go przywitać. Pokręcił się po sklepie, wysłał Józia na miasto i kiedy zostali we dwoje z kasjerką odezwał się jakby zawstydzonym tonem.

— Narobiliśmy wczoraj głupstw.

Panna Czesława opuściła głowę ku ziemi. W tej chwili uczuła się znowu tylko kasjerką, która zawiniła wobec swego chlebodawcy.

— To wszystko nie miało sensu — ciągnął chrapliwym znudzonym głosem Sobieszczak. Oczywiście, pani temu nie winna, ale...

I nagle roześmiał się głupkowato.

— O tem co było, najlepiej już nie wspominać. Ale razem bawiliśmy się, razem trzeba płacić.

Panna Czesława spojrzała na niego z przerażeniem.

— Jakto?

— Pani połowę, ja połowę, — niech się pani nie boi — dodał uspokajająco widząc jej przestach. Wszystkiego od razu z pani nie ściągnę. Będę pani strącał po pięć złotych miesięcznie z pensji.

Panna Czesława nie próbowała nawet protestować. Stłumiła w sobie oburzenie i nabierała tylko jeszcze większej pogardy dla Sobieszczaka, który bezczelność swoją posuwał do tego stopnia, że gdy jej strącał pięć złotych przy wypłacaniu pensji, podkreślał to zawsze porozumiewawczym uśmiechem, w którym tkwiło jakgdyby dobrotliwe napomnienie. Wkrótce potem Sobieszczak związał się z jakąś podstarzałą kokotą i zupełnie stracił dla niej głowę. Pierwszy doniósł kasjerce o tem Józio, który jakimiś tajemnymi drogami potrafił wyszperać zawsze wszystko, co się týczyło nie tylko czynów, ale i zamierzeń ich chlebodawcy i wyraził przekonanie, że Sobieszczak napewno się z kokotą ożeni. To dopiero wstrząsnęło do głębi uczuciami panny Czesławy. Bo w miarę jak się oddalała nieszczęsna kolacja, zacierało się również w duszy kasjerki przykre i upokarzające wrażenie cynicznej zmiany Sobieszczaka i ustępowało miejsca coraz wyraźniejszej nadziei, że wszystko musi naprawić. W chwilach rozpoetyzowania wyobraźni motywy, jakie miały skłonić Sobieszczaka do powrotu, panna Czesława nazywała przekleństwem swego ciała i wierzyła, że działanie tego przekleństwa, które się zaczęło, gdy Sobieszczak raz dotknął ją ustami musiało fatalistycznie zwyciężyć. Zbyt aktywna jednak, aby zawierzyć

swoją przyszłość tylko powolnemu wpływowi tego zmysłowego uroku, który w odczuciu jej zabarwiał coś już jakimś prawie mistycznym odcieniem, rozpoczęła podstępłą grę, mając na celu kokietowanie Sobieszczaka. Pozornie była tylko automatem sklepowym, nieczułym na wszystko co nie leżało w zakresie przyjętych obowiązków, w pozorach tych jednak każde odezwanie się, każdy ruch, uśmiech i spojrzenie były obliczone na ciągłe działanie, na zmysłową podświadomość zwierchnika. W ciągu długoletnich teoretycznych rozmyślań nad miłością panna Czesława stworzyła sobie całą uwodzicielską teorię, której podstawą było to, aby ciągle na każdym kroku drażnić zmysły mężczyzn, a ponieważ z żadnym z tych mężczyzn, którzy jej się podobali nie miała sposobności tak ciągłego przebywania

jak z Sobieszczakiem, więc poraz pierwszy mogła stosować swoją teorię w całej pełni. Nie zrażało jej to, że Sobieszczak nie zwracał najmniejszej uwagi na najrozmaitsze subtelności pochyleń, wyciągania rąk, manewrowania nogami, które miały zaostreć w nim przytłumione po jednym wybuchu pożądanie, bo była najgłębiej przekonana — wiedziała, że każdy dzień pozostawia mu w zmysłach jakieś drobne, może nieuchwytnie, ale już niezatarte wrażenie.

Tym bezpośrednim uwodzicielskim zabiegiem towarzyszyły inne, obliczone na dalszy dystans. Pod wpływem ciągłej tęsknoty do miłości w pannie Czesławie rozwinęła się pewnego rodzaju narcyzowatość. Zachwycała się własnym ciałem i upiększała je wciąż dla przyszłego kochanka. Ogarnęła ją manja kosmetyków. Nieraz odmawiała sobie obiadu, aby móc kupić jakiś środek na cerę albo na włosy, jakiś krem czy puder, nową wodę toaletową, czy mydło o specjalnych zaletach. Umywała jej w niewielkim biednym pokoiku cała zastawiona flakonami i słoikami najdziwniejszych kształtów, wywierała wrażenie jakiegoś kąta w laboratorium chemicznym. Marzeniem panny Czesławy było posiadanie dużego lustra, w którym mogła w całości nagość swoją podziwiać. Niestety, było to zatrudne do urzeczywistnienia, więc musiała studjować ją kawałkami. Co wieczór całymi godzinami oddawała się kalotechnicznym praktykom i gdy się kładła spać od stóp do głowy oblepiona tłuszczami przypominała raczej jakby jakieś fantastycznych rozmiarów reklamowe mydło, urobione na kształt ludzki niż żywą istotę. Wiadomość o stosunku Sobieszczaka z kokotą brutalnie przecięła jej marzenia. Ale nienawiść panny Czesławy skierowała się do ry-

walki. I nic nie potrafiłoby jej wybić z duszy przekonania, że gdyby nie to przypadkowe zjawienie się istoty przewrotnej i nikczemnej, która miała tę wyższość nad nią, że nie gardziła żadnymi środkami, Sobieszczak byłby do niej wrócił. Wprowadziwszy motyw fatalizmu do swego niepowodzenia, panna Czesława musiała zmiekczyć urazę do Sobieszczaka. Z tego powodu do bezbrzeżnej pogardy mieszało się czasami przelotne współczucie. W tej chwili jednak po szeregu szykan i awanturze, jaką jej zrobił Sobieszczak dziwnym już się jej tylko wydawało, że tego rodzaju ordynarny cham mógł w niej wogóle budzić współczucie. I nastrajając się na coraz chłodniejszą nienawiść postanowiła ostatecznie szukać innego miejsca. Iak w każdej istocie słabej i bezbronnej decyzja ta, właśnie dlatego, że jej się wydawała nieodwołalną budziła w niej przy pozornym skrzepnięciu woli równoczesny niepokój.

— Mój Boże, żeby to mieć jakie stosunki, protekcję — westchnęła żałośnie z zamyślenia, które w kilka minut conajmniej odcięło ją od rzeczywistości, spostrzegła nagle, że przed oknem sklepu stał jakiś pan, i pod pretekstem oglądania nieciekawej bardzo wystawy najwidoczniej w nią się wpatrywał. Panna Czesława cofnęła się od drzwi, ale niespłoszona bynajmniej, tylko z uczuciem, które w analogiach

ze świata zwierzęcego można by było określić, jako cofnięcie się do skoku. Zmieniwszy pozę i wyraz twarzy skierowała z powrotem i już wyzywająco wzrok na nieznanego. Ocknęła się w niej wieczna gotowość do miłości, dla której każde spojrzenie męskie było alarmującym sygnałem. Pan z przed sklepu w tej chwili uchylając ostrożnie i jakby nieśmiało drzwi, wszedł do wnętrza. Był to pięćdziesięcioletni mężczyzna, wysoki, przystojny, ale nie to zastanowiło pannę Czesławę w pierwszym wrażeniu, tylko ogólny nieuchwytny ton, który nosi w potocznej mowie nazwę pańskiego wyglądu. Odczuła, że ma przed sobą człowieka z arystokratycznej sfery i to ją zmieszało. Nie umiałaby zresztą napewno zdać sobie sama sprawy, że przyczyną tego zmieszania nie była uniżona nieśmiałość, ale raczej nadmiar odwagi w marzeniach, które nie opuszczały jej nigdy. Starła

się zapanować nad sobą, ale bezskutecznie, tembardziej, że zmieszanie jej powiększało się z każdą chwilą wskutek niezwykłego, jak na przechodnia, który wstępuje do sklepu po przelotny sprawunek, zachowania się wytwornego pana. Nie odzywał się, tylko stał jakby ośniony, nie spuszczać wzroku z panny Czesławy. Ta niema scena dłużyła się z minutę. Ze wzroku nieznajomego przebijał tak wyraźny

zachwyty, że kasjerka uczuła, jak jej krew uderza do głowy. Odezwała się wreszcie, prosto, żeby dać ujście zdenerwowaniu.

— Czem panu mogę służyć Wytworny pan uśmiechnął się zagadkowo.

— Wszystko jedno.

Panna Czesława spojrzała na niego, jakgdyby z fachowym zdumieniem, które na ćwierć sekundy zapanowało w niej nad wszelkimi innymi uczuciami. Znałogowanie myślenia nie pozwoliło jej dopuścić, że komuś może być wszystko jedno, po co wchodzi do sklepu. Wytworny pan zrozumiał to widocznie. Zmienił mu się wyraz uśmiechu.

— Ostatecznie, niech mi pani da pudełko papieru listowego.

— Czy w lepszym gatunku?

Panna Czesława była tak zdenerwowana, że z prawdziwą ulgą przechodziła do normalnych tematów rozmowy.

— W jak najlepszym.

— Może być za dwadzieścia osiem złotych.

— Może.

Było w sklepie takie jedno pudełko kosztowniejszego papieru, które stanowiło przedmiot wiecznej irytacji pana Sobieszcza. To też, gdy panna Czesława sięgała po nie na półkę, ogarnęło ją podwójne uczucie tryumfu: że zaimponuje chlebodawcy, jako sprytna sprzedaw-

czyni (błyskawicznie przemknęła jej nawet przez głowę myśl, czy to nie stworzy atuta w jej walce z kokotą — mężczyznom tak mało potrzeba do zupełnej zmiany uczuć) i zarazem, że będzie mogła służyć wytwornemu panu towarem na poziomie jego wymagań. Ta druga myśl splątała się z nieśmiałym wrażeniem, że wytworność papieru podwyższała ją samą nieco towarzysko i przez to stanowiła pomost do wyrównania różnicy socjalnej między nią a tajemniczym klientem. Z dumą zaczęła otwierać pudełko, aby pokazać papier, ale nieznajomy nie pozwolił tego zrobić, przytrzymując pokrywkę ręką.

— Jakto, nie chce pan obejrzeć.

— Nie.

— Dlaczego.

— Bo mnie nic nie obchodzi, jak ten papier wygląda.

— Jakżeż można kupować i nie widzieć tego, co się kupuje?

— Można.

Mówiąc to, wytworny pan posuwał powoli rękę po powierzchni pudełka i wreszcie dotknął palcami dłoni panny Czesławy. Pannę Czesławę dreszcz przeszedł. Opuściła oczy i czekała. Nieznajomy zaczął ją delikatnie głaskać po ręce.

— Jak pani na imię? — odezwał się nagle Przyciszonym głosem.

Panna Czesława uważała, że w rozmowie, która miała posiadać posmak flirtu, nie można było od razu odpowiadać na tego rodzaju pytania.

— Ja mam bardzo brzydkie imię.

— Ale jakie?

— Niepodoba się panu.

Nieznajomy pan wzruszył ramionami z widocznym zniecierpliwieniem.

— Niechże mi pani powie.

— Czesława.  
— Czeńska... Bardzo ładne imię.  
Panna Czesława wolałaby była zdrobnienie "Czesia" niż "Czeńska", które wydało jej się zbyt prostackie. Zdziwiło ją to zwłaszcza w ustach tak eleganckiego człowieka. Odezwała się, przybierając dziecinnie rozkapryszoną minę.  
— Proszę mnie tak brzydko nie nazywać.  
— A cóż w tem brzydkiego?  
— Nie mówi się Czeńska.  
— A jak?  
— Już, jeżeli pan mnie chce zdrobniale nazywać, to Czesia... Tylko my się za mało znamy.  
— Zupełnie się z panią zgadzam — uśmiechnął się wytworny pan i dlatego proponuje, żebyśmy się lepiej poznali.  
Pannę Czesławę dreszcz przeszedł. Spotykały ją takie propozycje w sklepie od najro-

zmaitszych młokosów i wogóle ludzi, o których wiedziała odrazu, że należą do tej samej, co i ona, sfery, ale pierwszy raz zdarzało jej się, żeby chęć zawarcia znajomości wyrażał poważny, prawdziwy pan. Pragnąc się wydać jaknajbardziej interesującą, przybrała pewną minę, która w jej pojęciu miała uosabiać naiwny wdzięk, i odparła takim tonem, żeby nieznajomy wiedział jednak, że jest to tylko stylizacja.

— Rozczaruje się pan. Ja jestem tak mało ciekawa.  
— Pani jest jedną z najciekawszych kobiet na świecie. Być może, że pani sama nie zdaje sobie z tego sprawy. To co innego — mówił szybko, przyciszonym głosem wytworny pan oglądając się co wyraz prawie na drzwi, co widocznie zdradzało obawę, żeby go ktokolwiek na tej rozmowie nie przyłapał. O której pani wychodzi ze sklepu?  
— O ósmej.  
— Sama?  
— Mogę wyjść sama.  
— Koniecznie niech pani wyjdzie sama. Ja będę czekał na rogu ulicy przy przystanku tramwajowym.  
Mówiąc to, głaskał pannę Czesławę po rękę i wreszcie, obejrzawszy się jeszcze raz pośpiesznie na drzwi, pochylił się i po-

całował ją w rękę. Kasjerka oszołomiona najzupełniej zdążyła jednak zauważyć zmianę w twarzy niespodziewanego wielbiciela. Poczzerwieniał, żyły na skroniach mu nabrzmiały. oczy nabrały jakiegoś nienaturalnego blasku.

— Ale dlaczego pan chce mnie poznać?  
— Bo pani mi się niesłychanie podoba.  
— Cóż we mnie może się podobać?  
Wytworny pan nie zdążył już dać odpowiedzi. We drzwiach sklepu ukazał się Sobieszczak. I stało się coś, co pannę Czesławę napęłniło jeszcze większym podziwem, niż słowa zachwyty, jakie słyszała przed chwilą. Na twarzy Sobieszczaka odmalowała się już nie radość, ale poprostu rozanielenie: zgiął się przed gościem wpół, w pełnym szacunku ukłonie.  
— Czem panu prezesowi mogę służyć? — wykrztusił wreszcie pełnym wzruszenia głosem.  
Pan prezes — kasjerka osłupiała do reszty, słysząc, że nieznajomy był "panem prezesem", — popatrzył na Sobieszczaka z roztargnieniem, które potem przeszło w namysł i odezwał się po chwili:  
— Pan pracuje w naszej organizacji?  
— Sobieszczak.  
— A, pan Sobieszczak... prawda, prawda... Odrazu pana poznałem. Gdybyśmy mieli wię-

cej takich ludzi, jak pan, inaczej kraj by wyglądał. Do widzenia.

I prezes szybko zawrócił ku drzwiom, nie patrząc już na pannę Czesławę.

Sobieszczak nie mógł widocznie ochłonąć ze wzruszenia. Z ust nie schodził mu uśmiech, jakim pożegnał prezesa i raz po raz zacierał ręce.

— Wie pani, kto to był? — zapytał nagle panny Czesławy.

— Nie.

Sobieszczak wydał policzki i milczał przez chwilę, w czym było widoczne przygotowywanie się do piorunującego efektu.

— Przeclawski.

Nazwisko padło z jego ust krótko, jak okrzyk tryumfu.

Kasjerce nic to nazwisko nie powiedziało Coprawda, ale jeżeli Sobieszczak tryumfował, to jej poczucie wewnętrznego tryumfu było stokroć większe. Jedno wydawało się już jej pewnym, nie podlegającym najmniejszej wątpliwości. Człowiek tak niepospolity, który nawet w lekceważącym wszystkich i wszystko Sobieszczaku potrafił wzbudzić tego rodzaju szacunek, nie mógł mówić na wiatr, jak pierwszy lepszy łobuz. Skoro więc wyrażał jej swój zachwyt, to ten zachwyt musiał być prawdziwy. Serce panny Czesławy wezbrało nieopisaną dumą. W jednej sekundzie zapomniała o wszystkich

urazach do swego chlebobdawcy. Kim przy niej był Sobieszczak! Jakimś marnym sklepikarzyną. Może za pół roku będzie jej się tak samo nisko kłaniał, jak prezesowi.

— Pani wie, kto to jest? — odezwał się nagle Sobieszczak.

— Wiem, skłamała.

— No to niech pani powie.

Kasjerka pozwoliła już sobie na wzruszenie ramionami.

— Cóż mam panu mówić. Prezes.

— To jeszcze mało... On jest w dziesięciu instytucjach prezesem. Posłem był także.

— A dlaczego nie jest? — podchwyciła szybko panna Czesława.

— Bo sam nie chciał.

— Sam nie chciał?

— A cóż pani myśli. Jego by nie wybrali? Zgorszenie w głosie Sobieszczaka było niesłuszne, ponieważ panna Czesława nie miała najmniejszej intencji podawaniaw wątpliwość możliwości ponownego obioru Przeclawskiego. Przeciwnie, rewelacja Sobieszczaka wyolbrzymiła w niej pojęcie o wielkości Przeclawskiego już do usuwających się z pod kontroli mózgu rozmiarów. Nie umiała sobie wyobrazić człowieka, który mówił "nie chcę być posłem", tak jakby ona powiedziała "nie pojedę tramwajem".

— Musi być bogaty — odezwała się po chwili badawczo.

Sobieszczak czekał tylko pytań, żeby moc wylądować z siebie podniecenie. Przez dziesięć minut usta mu się nie zamykały i panna Czesława dowiedziała się o Przeclawskim wszystkiego. Że miał olbrzymi majątek ziemski a pozatem kamienicę w Warszawie i w niej wspaniałą apartament. Że był jednym z najwybitniejszych w Polsce działaczy społecznych i politycznych i zajmował wielkie stanowisko w stronnictwie, do którego należał Sobieszczak. Na tem ogólnem tle raz po raz wystrzelały jak ognie sztuczne entuzjastyczne szczegóły. Mieszkanie nawet przy dzisiejszym spadku cen przedstawiało wartość conajmniej sześciu tysięcy dolarów. Przed dwoma laty konie Przeclawskiego zdobyły cztery nagrody na wyścigach. Z czasem, gdy w Polsce zaczną rządzić naprawdę Polacy, Przeclawski napewno będzie ministrem. Nikt, tak jak on, na zebraniach i na wiecach nie umiał przemówić prosto do serca.

Kasjerka słuchała tego wszystkiego z zapartym oddechem, w głębi duszy paliła ją jednak ciekawość innych, bardziej prywatnych szczegółów z życia Przeclawskiego. Po chwili poszukiwań udało jej się wreszcie w dyplomatyczny sposób sformułować pytanie.

— Z kim on jest żonaty?

Sobieszczak sposepniał.

— To przykra historia — odparł wymijająco.

Kasjerce pociemniało w oczach.

— Ale żyje z żoną?

— Nie.

— Rozwiedli się?

— Nie wiem. Podobno się rozwodzi.

Sobieszczak odpowiadał niechętnie. Nie

chciał najwidoczniej poruszać tych stron życia Przeclawskiego, które w jego oczach stanowiły skazę w harmonijnych liniach ideału. Dla panny Czesławy jednak był to temat najważniejszy, który doprowadzał ją prawie do nieprzytomności.

— Ale się nie rozwiedli jeszcze? — dopytywała się gorączkowo.

— Nie.

— A kto kogo porzucił, on ją czy ona jego?

Sobieszczak wzruszył ramionami. Przypuszczenie, że człowiek o takim charakterze i niezłomnych przekonaniach, jak Przeclawski, mógł porzucić żonę i zniszczyć rodzinę, równało się w jego pojęciu obeldze. I odburknął ostro:

— A cóż się pani tak dopytuje?... Myślałby kto, że się pani wybiera za Przeclawskiego za męża.

Kasjerka nic na to nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się nieznacznie. Sobieszczak nie zauważył tego uśmiechu, a zresztą, gdyby był zauważył, toby go nie zrozumiał.

\* \* \*

Panna Czesława przeżyła dzień w takim naprężeniu nerwów, że gdy po zamknięciu sklepu skierowała się w stronę przystanku tramwajowego i zdaleka zobaczyła Przeclawskiego, który już czekał, doznała wrażenia, jakgdyby zaraz miała zemdleć. Wogóle w ciągu tego dnia, który dłużył jej się, jak żaden inny w życiu, przechodziła kolejno od najbardziej szczytnych upojeń do najsłabszego przygnębienia. I w chwilach przygnębienia ogarniała ją obawa o stan własnego umysłu. Do tego stopnia trudno jej było uwierzyć w rzeczywistość rozmowy z Przeclawskim, że zastanawiała się z lękiem, czy wszystko to nie było chorobliwą halucynacją. I ostatecznie dopiero obecność Przeclawskiego na umówionym miejscu spotkania rozproszyła jej niepewność. W dodatku przed wieczorem pogoda się zepsuła, zaczął mżyć deszcz i panna Czesława, przyjmując już nawet realność całej przygody z Przeclawskim, była przekonana, że właśnie z powodu deszczu nie przyjdzie.

Tem radośniej było jej oszołomienie, gdy zobaczyła, że dotrzymał obietnicy.

— W taki deszcz pan prezes czekał na mnie — powitała go szczerze wzruszona.

Powiedziała to dość głośno. Przeclawski obejrzał się niespokojnie dookoła i odparł z lekkim zniecierpliwieniem w głosie.

— Niechżeż pani nie nazywa mnie prezesem.

— Przepraszam — szepnęła splotzona. Przeclawski odprowadził ją kilkanaście kroków od przystanku do stacji samochodów.

— Ma pani wieczór wolny?

— Mam.

— Pojedziemy na kolację. Weźmiemy gabinet, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać. Gdyby pannie Czesławie kto inny, od razu w kilka godzin po zawarciu znajomości zrobił taką propozycję, zaprotestowałaby gorąco, oczywiście nie z powodu jakichkolwiek rzeczywistych skrupułów, tylko przez wzgląd taktyczny, aby nie wywierać wrażenia osoby zbyt łatwej. W stosunkach z mężczyznami trzymała się już pewnego ustalonego ceremonjału stopniowania zażyłości. Pierwszym etapem był spacer, albo pogadanka w cukierni, drugim kinematograf i dopiero potem, naturalnie, bez narażenia opinii na szwank mogła przyjść kolej na restaurację. Ale Przeclawski ją onieśmielał.

Reprezentował świat, który znała tylko z powieści i z filmów i którego konwenansów nie była zupełnie pewna. Może tam właśnie zaczynało się od razu od gabinetu w restauracji. Do znanego już jej uczucia ochrony dobrej swej opinii przyłączało się tym razem nowe i jeszcze nie ujęte w żadną regułę — mianowicie obawy, aby człowiekowi z wielkiego świata nie wydać się zbyt śmieszna mieszczką i parafianką. Onieśmienie jej powiększało jeszcze to, że Przeclawski milczał, a ona nie wiedziała, od czego zacząć rozmowę. Nareszcie samochód zatrzymał się przed restauracją.

Tylnym wejściem przez bramę Przeclawski wprowadził ją do gabinetu. Był widocznie zdenerwowany i bez trudu można było odgadnąć, że poprostu obawiał się spotkania z kim ze znajomych. Panna Czesława to wyczuła, i nie mogła zrozumieć tego rodzaju nieśmiałości u człowieka tak potężnego i niezależnego, jak Przeclawski. Dopiero, kiedy rozsiedli się w gabinecie i kelner wyszedł po otrzymaniu dyspozycji, Przeclawskiemu rozjaśniła się twarz.

— Pani na imię Czesława, a na nazwisko? — zapytał nagle kasjerki.

— Rośnicka.

— Czy pani jest warszawianką?

— Tak.

— Ile pani ma lat?

— Dużo — wyszeptala panna Czesława. W tonie głosu Przeclawskiego było coś tak stanowczego i rozkazującego, że zmuszał ją tem do dawania ścisłych i prawdziwych odpowiedzi, tylko już liczba lat nie mogła jej się precyzyjnie przeczisnąć przez gardło.

Przeclawski wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Niech mi pani dokładnie odpowie. Takie przekomarzenie się "dużo", "niech pan sam zgadnie" i tak dalej, to dobre dla szwaczek i sklepówek. Pani jest kobietą innego typu. Niestychanie mi się pani podoba. Jeżeli każdy mężczyzna nosi w duszy jakiś ideał kobiety, niedościgniony, to mogę powiedzieć, że pani jest najbardziej zbliżona do mojego ideału.

Przy ostatnich słowach Przeclawski położył pannie Czesławie rękę na kolanie.

Była tak wzruszona, że nie śmiała cofnąć nogi.

— Dlatego — ciągnął Przeclawski — musimy być wobec siebie zupełnie i bezwzględnie szczerzy. Ile pani ma lat?

— Dwadzieścia sześć.

Panna Czesława chciała powiedzieć prawdę, ale wyrazy wyrwały jej się z ust same, jakgdyby bez udziału myśli i woli.

Przeclawski uśmiechnął się zagadkowo i po chwili milczenia, pełnego dręczącego nie

pokoju dla kasjerki, odezwał się z akcentem wyraźnej tkliwości w głosie.

— Wie pani, dlaczego o to się pytałem?

— Nie.

— Obawiałem się przez chwilę, czy pani

nie jest moją córką.

— Ja, pańską córką?

— Wyobraża sobie pani — ciągnął Przeclawski, nie zwracając najmniejszej uwagi na osłupienie kasjerki — jaka byłaby to dla mnie tragiczna sytuacja. Na szczęście, ze względu na wiek pani jest to niemożliwe. Ale inna rzecz mnie zaciekawia. Muszę panią uprzedzić, że aczkolwiek sam należę do tak zwanej lepszej sfery, nie mam jednak żadnych przesądów i szanuję wszystkie rodzaje pracy ludzkiej. Otóż, czy pani ojciec nie był szewcem?

Panna Czesława poczerwieniała.

— Ojciec mój był urzędnikiem i pochodził z bardzo dobrej rodziny.

— Niechże się pani nie obraża.

— Nie obrażam się, ale, czy ja wyglądam na szewcówkę.

— Wygląda pani na to, czym pani jest. Najbardziej uroczą kobietą, jaką spotkałem w życiu. W tej chwili wyłomaczę pani moje pytanie i zarazem zrozumie pani przyczynę mego niepokoju. Kiedy zobaczyłem panią dziś przed południem, odrazu olśniła mnie pani

swoją urodą. Właściwie to nie oddaje jeszcze ściśle wrażenia, jakiego doznałem. Olśniła mnie pani tem nieuchwytnym, tajemniczym czemś, co promieniuje z poza urody. Zarazem uderzyło mnie niesłychanie znajomy wyraz pani twarzy. Przez cały dzień starałem się sobie przypomnieć, czy już pani gdzieś, kiedyś nie spotkałem. Ale nie. Chociażby dlatego, że gdybym był panią spotkał, to odrazu postarałbym się do pani zbliżyć, tak jak dziś. I dopiero teraz wieczorem, kiedyśmy siedzieli w samochodzie i nagle zobaczyłem twarz pani w pewnym skrócie i w pewnym oświetleniu, zrozumiałem tajemnicę tego podobieństwa. Pani mi ogromnie przypomina pokojówkę, która służyła u nas w domu, kiedy byłem jeszcze młodym chłopcem, uczniem gimnazjum.

— Pokojówkę? — powtórzyła panna Czesława ze zgorznięciem.

— Śliczna dziewczyna była. Prześliczna. Miała na imię Maryśka.

— I pan się w niej kochał?

— Miałem z nią romans.

— Aa...

— Przecież pani musi poznać moje całe życie — wybuchnął prawie Przeclawski i w tym jego podnieconym tonie a zarazem nacisku na mus poznania całego życia panna Czesława doszukała się tak obiecujących akcentów

j perspektyw na przyszłość, że to zapanowało w niej odrazu nad rozczarowaniem i zgorznięciem.

— Pan mi chce opowiedzieć całe swoje życie, naprawdę?

— Nie opowiedzieć. To zamało. Chcę się przed panią z całego swojego życia wypowiadać. Pani jedna będzie wiedziała wszystkie najskrytsze moje myśli.

— Bardzo mnie cieszy i pochlebia zaufanie ze strony tak znakomitego człowieka, jak pan — krztusiła się panna Czesława, z trudem dobierając wyrazy, ale nie rozumiem, dlaczego pan chce mnie się spowiadać. Przecież między nami jest taka różnica.

Przeclawski ujął ją pod rękę i zlekka przycisnął ku sobie.

— Jaka różnica.

— Kimżeż ja jestem przy panu?

— Niech pani inaczej postawi pytanie. Kim ja jestem przy pani?

— Nie wiem.

— No, proszę mnie zapytać.

— Kim pan jest przy mnie?

— Psem i niewolnikiem — szepnął słumionym głosem Przeclawski. I nagle, osunąwszy się na podłogę, ukląkł i chwycił pannę Czesławę zębami za łydkę.

— Co pan robi? — krzyknęła ogłupiała.

— Tak się pies bawi ze swoją panią.  
— Ależ panie prezesie.  
— Nie jestem dla ciebie prezesem. Mów mi ty.  
— Jakżeż bym śmiała.  
— To ja nie śmiałem ci powiedzieć ty. Musiałem skupić całą siłę woli, żeby się zdobyć na odwagę. Odpędź mnie od siebie... Kopnij jak psa. Kopnij, kopnij — skamlał drżącym głosem.  
W tej chwili jednak kelner przed wejściem do gabinetu zapukał dyskretnie do drzwi i Przeclawski zerwał się z podłogi. Chwilowy przymus, jaki wytworzyła obecność kelnera w pokoju, doprowadził go do równowagi. Kiedy znów zostali sami, siedział przez chwilę w milczeniu, jakby zmieszany.  
— Kto to słyszał klękać przed ludźmi — odezwała się panna Czesława, wchodząc już w rolę opiekunki i wychowawczyni kochającego mężczyzny.  
— Kocham cię — odparł Przeclawski, obejmując ją znów w pół.  
— Przecież pan ma żonę.  
— Kończę proces rozwodowy.  
Pannie Czesławie pociemniało w oczach.  
— I po co pan się rozwodzi. Pewno pańska żona bardzo pana kocha.

— Ty będziesz moją żoną. Będziesz? Odpowiedz.  
Panna Czesława nie mogła głosu z gardła wydobyć. Łzy jej się zakręciły w oczach. W milczeniu, nieznacznie skinęła głową.  
— Dlatego chcę, żebyś znała całe moje życie — ciągnął Przeclawski coraz mocniej, tuląc ją do siebie. Wspominałem ci o tej Maryśce. Muszę ci opowiedzieć wszystko. Będę już mówił z tobą, jak z żoną. Wyraźnie. Między nami nie miałyby już sensu pruderja, ani konwenanse. Powinniśmy rozmawiać tak, jakby każde głośno myślało. Prawda?  
— Prawda.  
— To już dawne dzieje. Przeszło trzydzieści lat temu. Nie jestem już młody.  
— Bardzo młodo pan wygląda.  
— Jaki pan.  
— Bardzo młodo wyglądasz — poprawiła się nieśmiało panna Czesława.  
— Byłem uczniem gimnazjum. No i ten dzień jest dla mnie podwójnie pamiętny. Chciałem sobie życie odebrać.  
— Dlaczego?  
— Przez głupotę. Mniejsza o to. Mieliliśmy dwie służące: Aleksandrę i Maryskę. Sypiały w jednym pokoju. Poszedłem w nocy, wyciągnąłem Maryskę z łóżka i sprowadziłem do siebie. W dwa tygodnie potem wyszła za mąż

za szewca. Od tego czasu już jej nigdy nie widziałem. I nieraz zastanawiałem się nad tem czy miała odemnie dziecko, czy nie.  
— To ja tak staro wyglądam? — przerwała mu nagle panna Czesława.  
— Ty staro? Skąd ci to na myśl przyszło?  
— Jeżeli miałeś romans z tą pokojówką przeszło trzydzieści lat temu i przypuszczałeś, że ja mogłam być twoją córką.  
Przeclawski się roześmiał.  
— To podobieństwo wywarło na mnie takie wrażenie, że zupełnie pomieszało mi się w głowie. Ma się rozumieć, to był nonsens.  
— Więc ja jestem tak do niej podobna? Przeclawski nie odpowiedział odrazu. Zmarszczył czoło, jakgdyby namyślając się nad czymś.  
— To bardzo ciekawe. Właściwie podobna nie jesteś, a niesłychanie mi ją przypominasz.  
— Nie rozumiem.  
— Różne typy kobiet mogą mieć jednakowe promieniowanie zmysłowości. Nie, źle

powiedziałem. Nie różne typy, a różne kobiety i to stwarza z nich jeden typ, mimo że mogą być pozornie niepodobne. Maryśka stanowczo była moim typem. ty jesteś moim typem.

I zaczął jej opowiadać o Maryśce. Panna Czesława zamieniła się cała w słuch, wszak były to przeżycia, tyczące się jej człowieka,

jej męża, ale zaraz już po kilku pierwszych zdaniach tego opowiadania ogarnęło ją zawstyżenie. Przeclawski był tak drobiazgowy w odmalowywaniu miłosnej przygody, zapuszczał się w szczegóły tak drastyczne, używając przytem jaknajtrywialniejszych wyrazów i określeń, że nawet jak na bardzo dyskretne i zaufane zwierzenia męża wydawało jej się to za ohydne. Napróżno jednak usiłowała mu przerywać, Przeclawski zbywał jej próby z widocznym zniecierpliwieniem i rozdrażnieniem. Twarz mu się znów zmieniła, oczy nabrały nienaturalnego blasku, zawstyżona jednak i już do reszty najzupełniej ogłupiała kasjerka odwracała wciąż wzrok, żeby przynajmniej już nie patrzył w jej oczy i nie powiększał jej wstydu i dlatego nie widziała zmiany w wyrazie jego twarzy, a była zamało inteligentna dla zdania sobie sprawy, że Przeclawski lubował się chorobliwie w odtwarzaniu erotycznej sceny i najwyraźniej się tem podniecał. Z ulgą odetchnęła, gdy zamilkł wreszcie i, przymknawszy oczy, przesiedział chwilę nieruchomo, co mogło nawet wywołać wrażenie, że drzemał. Ta pauza pozwoliła pannie Czesławie jakgdyby zgarnąć nanowo roztrzęsione nerwy. Zarazem mózg jej pracował gorączkowo nad znalezieniem odtrutki na wstręt, jakim ją nappełniło całe to opowiadanie.

Bała się obniżenia we własnych oczach swego ideału. Odtrutkę udało jej się znaleźć w obyczajowości arystokracji. Od Józia, który lubił się chęłpić specjalnem znawstwem wyższych sfer, słyszała kilkakrotnie, że arystokracja w swoim zamkniętem kole odznacza się niesłychaną swobodą języka, dochodzącą nawet do ordynarności i że, jeśli z kimś tak mówią, to uważają go za swojego. Twierdzenie to Józio opierał na rewelacjach jakiegoś hrabicy, którego gdzieś kiedyś poznał i który go zaszczycał niesłychanie ordynarnym sposobem mówienia. Panna Czesława, wówczas, gdy towarzysz pracy sklepowej opowiadał jej to, nietylko mu nie wierzyła, ma się rozumieć, ale pogardzała nim nawet głęboko za tego rodzaju kłamstwa, w tej chwili jednak przypomnienie teorii Józia uratowało ją z nadwyraz przykrej duchowej sytuacji. Zrehabilitowała go więc w duszy i, uwierzywszy, posunęła się nawet dalej. Zaczęła odczuwać coś w rodzaju dumy, że wysłuchiwała spokojnie Przeclawskiego, podczas, gdy każda inna kobieta na jej miejscu napewnoby uciekła. To już było dla niej dowodem, że potrafiła się z łatwością przystosować do psychologii sfery, do której sądzono było jej wejść. Rozumowała ponadto, że tak wytworny człowiek, jak Przeclawski, nie obrażałby jej bez powodu. Jeśli więc przestał się

wobec niej krępować, to dlatego, że już ją uważał za równą sobie najzupełniej... I w rezultacie chwila gorączkowych rozmyślań doprowadziła ją od uczucia wstydu i urazy do wdzięczności. Miała wrażenie, że opowiadaniem swoim Przeclawski jakgdyby wpuszczał ją w próg nowego, nieznanego świata, dostępnego tylko dla wtajemniczonych.

Dla Przeclawskiego poruszenie tych dziecinnych wspomnień stało się zwrotnym punktem humoru. Osowiał, zadzwonił na kelnera i kazał podać rachunek. Panna Czesława śledziła jego apację z zaniepokojeniem i wydało jej się, że w takim nastroju nie mogli opuszczać gabinetu. W jej chaotycznych i sprzecznych uczuciach przewijała się wciąż jednak i praktyczna nuta. Postanowiła wszelkimi sposobami podsycić stygnący zapał narzeczonego. Objęła go nagle rękami za szyję, przyciągnęła ku sobie i zaczęła całować w usta. Przeclawski przyjął tę

pieszczotę dość obojętnie, nawet, gdy panna Czesława po koniecznej przerwie dla nabrania tchu nanowo zbliżała usta do jego ust, odsunął ją od siebie. W tej samej jednak chwili, zdając sobie sprawę, że sprawił jej tym odruchem przykrość, dodał z kokieterijnym uśmiechem.

— Nie śpieszmy się, mamy całe życie przed sobą.

— Mnie się to wciąż w głowie nie może pomieścić — odparła rozmarzona panna Czesława.

— Co?

— Że się chcesz ze mną ożenić.

— Nie wyglądam chyba na człowieka, któryby takie rzeczy mówił dla żartu. To mnie się nie powinno mieścić w głowie, że mnie takie szczęście spotyka. Pannę Czesławę korciło niesłuchanie jedno pytanie, którego nie śmiała Przeclawskiemu zadać. Mianowicie, czy nie miałby nic przeciwko temu, aby zaraz nazajutrz opowiedziała w sklepie, że wychodzi zamaż. Może nawet nietyle nie śmiała zadać tego pytania, ile się obawiała odmownej odpowiedzi. Wprawdzie tłumaczyła sobie odrazu, że wobec nieukończenia procesu rozwodowego Przeclawskiego nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby jeszcze do pewnego czasu małżeństwo z nią musiał zatajać, ale instynktownie wolała tej wiadomości od niego nie słyszeć. Nie podobało jej się zwłaszcza, że Przeclawski nie ustalił następnego spotkania. Ogólnikowo obiecał jej tylko zatelefonować.

— Czekam — odezwała się nie bez melancholji, gdy Przeclawski odwiózł ją pod dom.

— W ciągu trzech dni zatelefonuję.

Trzy dni! Dla panny Czesławy był to fantastycznie długi termin. Ale już wiedziała, że wszelkie targo z Przeclawskim na nicby się nie zdały. Gdy tylko wysiadła, Przeclawski odjechał, nie czekając, aż jej otworzą bramę, i została sama na deszczu w pustej, odludnej ulicy. Zdarzało jej się to Coprawda nieraz, przyzwyczajona była do twardego snu dozorczy i wystawiania po pół godziny, nim jej otworzył, ale dawniej uważała to za rzeczy zupełnie naturalne i nie zwracała na nie uwagi, a teraz ogarnęło ją nagle przykre uczucie osamotnienia i rozgoryczenia. I obudziła się w niej wściekłość. Poprzysięgła sobie, że kiedyś, kiedyś za to zostawienie jej samej na ulicy wyrafinowanie Przeclawskiemu odpłaci.

\* \* \*

W południe następnego dnia panna Czesława była już zupełnie nieprzytomna ze zmęczenia. Przez całą noc ani oka nie zmrużyła, nawet się nie kładła. Zastanawiała się nawet rano, czyby nie dać znać Sobieszczakowi, że jest chora i nie zrobić sobie święta. W nowej sytuacji mogła już lekceważyć posadę. I jeśli ostatecznie zdecydowała się iść do sklepu, to tylko dlatego, że z dwojga złego wolała już sklep, niż beczynność w biednym i brudnym pokoiku, który jej nagle tak obrzydł, że ofia-

rowała w myśli jednemu z umiłowanych świętych znacznieszą ofiarę — oczywiście z przyszłej zamożności, byle jut jaknajprędzej uciec z tego zapowietrznego mieszkania. I z tym ślubem złączył jej się w duszy odruch żalu do Przeclawskiego za powolność, z jaką przeprowadzał sprawę rozwodową. Wszak to wszystko dawno już mogło być załatwione. Nie czuła zresztą, wychodząc z domu, najmniejszego zmęczenia. Podniecenie działało na nią jak narkotyki i znalazła w sobie nawet nowy motyw, zachęcający ją do tego, żeby właśnie iść do pracy. Postanowiła zmienić zasadniczo swój stosunek do Sobieszczaka, od pierwszego niedbałego

"Dzień dobry" traktować go z góry, pogardliwie tak, jak na to zasługiwał, i jak przedewszystkiem miała prawo, nie wdając się już w to nawet, czy Sobieszczak rzeczywiście był godzien pogardy. Perspektywa tego tryumfu nad chlebobawcą, który ją wielokrotnie obrażał, zdumienie i osłupienie Sobieszczaka jakie sobie wyobrażała tak ją cieszyło, że szła do sklepu z przyjemnością po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Zdecydowana była również, w razie, gdyby Sobieszczak pozwolił sobie na jakąś nieprzyzwoitą uwagę — nawymyślać mu — ale to tak nawymyślać, jak mu nikt nigdy nie nawymyślał jeszcze, trzasnąć drzwiami i rzucić posadę.

Jednakże te wszystkie buntownicze zamiary opuściły ją natychmiast, gdy tylko znalazła się wobec Sobieszczaka. Stanąwszy za kontuarem, nałogowo wzięła się odrazu w stan uczuciowy zahukanej panny ze sklepu i zamiast okazywać Sobieszczakowi lekceważenie, gorączkowo szukała wykrętu dla usprawiedliwienia tego, że się prawie pół godziny spóźniła. Ale ku jej najwyższemu zdumieniu, Sobieszczak nietylko nie robił jej, jak powinno było być według normalnego biegu rzeczy, zjadliwych wymówek, lecz był jakoś dziwnie nadskakujący i grzeczny. Sytuacja więc odwróciła się zupełnie i nawet paradoksalnie. Zmieniła się nie panna Czesława, lecz Sobieszczak. Zdumienie kasjerki z tego powodu byłoby może stokroć większe, gdyby potrafiła obserwować przemianę w zachowaniu się niemiłego i opryskliwego pracodawcy we wszystkich subtelnych szczegółach i odcieniach. Większość z nich jednak usuwała się z pod kontroli panny Czesławy, ponieważ pod wpływem nagłej i gwałtownej reakcji nerwów ogarnęło ją takie zmęczenie, że napół rozumiała tylko, co do niej mówiono i wszystko widziała, jak przez mgłę. Chciała prosić Sobieszczaka, ażeby jej pozwolił iść do domu i nie miała sił na sformułowanie zdania. Niespodziewanie wyręczył ją sam Sobieszczak. Przysunął się do niej i odezwał półgłosem:

— Niech pani idzie do domu.

— Ach, dobrze — wykrzyknęła z serdeczną wdzięcznością. I, ponieważ wobec nieoczekiwanej delikatności Sobieszczaka poczuwała się do obowiązku usprawiedliwienia, dodała zboliałym głosem:

— Sama nie wiem, co mi się stało.

— No, no, roześmiał się rubasznie Sobieszczak — miejmy nadzieję, że jak się pani prześni, to przejdzie.

— Pan sobie Bóg wie co wyobraża — zaprotestowała zawstydzona, zapominając o nowych prawach, jakimi darzyła ją zmiana losu.

Sobieszczak obejrzał się na Józia, który zajęty był przekładaniem jakichś paczek w drugim końcu sklepu i dodał szeptem, tak, żeby go pomocnik nie mógł usłyszeć:

— Ja wiem wszystko...

— Co?

— Wiem, z kim się pani wczoraj bawiła. Panna Czesława w jednej chwili odzyskała jasność umysłu. Czwała za sobą poparcie Przeclawskiego, i to jej dawało odwagę. Odżył w niej bunt przeciwko Sobieszczakowi. Zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem.

— Co to ma znaczyć? — wycedziła przez zęby, już według arystokratycznego zwyczaju. Wiedziała z powieści o wielkim świecie, że arystokraci, chcąc okazać komuś lekceważenie,

cedzą wyrazy przez zęby. Bunt jednakże był w jej życiu czemś tak niezwykłym, że równocześnie przeraziła się swojego odruchu, ale nim zdążyła usta otworzyć, żeby się usprawiedliwić, Sobieszczak już ją uprzedził.

— O cóż się pani obraża?

I dodał, kręcąc z uznaniem głową:

— No... no.

Widocznym było, że paliła go ciekawość, żeby się dowiedzieć szczegółów o zabawie swej kasjerki z prezesem. Wysłał Józia ze sklepu i znów zwrócił się do panny Czesławy, która, korzystając ze zwolnienia, ubierała się już do wyjścia.

— Ale pani przecież dopiero wczoraj poznała Przeclawskiego.

— Tak.

Sobieszczak był zupełnie zbity z tropu. Panna Czesława mogła już wyczytać w jego spojrzeniu nie tylko bezbrzeżne zdumienie, ale i głębokie uszanowanie. Po pierwszym pytaniu, dalsze jakoś mu nie szły. Onieśmiała się poprostu.

— No, no — powtórzył po raz drugi, kręcąc głową.

Na szczęście, ciekawość Sobieszczaka spotykała się z równie gorącym pragnieniem zwierzeń ze strony panny Czesławy. Po chwili milczenia sama podjęła rozmowę.

— Myśmy dość długo rozmawiali, nim pan przyszedł.

— I od razu panią zaprosił?

— Oświadczył mi się. Sobieszczak cofnął się w tył.

— Jakto oświadczył?

— Wychodzę za niego zamąż. — Za Przeclawskiego?

— Za Przeclawskiego.

— Wie pani, że dużo awantur w życiu widziałem, ale takiej... No to pani lada dzień sklep rzuci.

— Ma się rozumieć.

— Nie — pani chyba kpi sobie ze mnie — wybuchnął nagle Sobieszczak. — Poznał panią w południe i wieczorem się oświadczył.

— Miłość nie zna terminów — odparła sentencjonalnie panna Czesława.

Sobieszczak umilkł bezradny. Kult, jaki żywił dla Przeclawskiego, nie pozwalał mu również, jak i kasjerce, dopuścić myśli, żeby Przeclawski mógł niepoważnie robić obietnicę małżeństwa. Wiedział, że panna Czesława nie posunęłaby się do tak jaskrawego kłamstwa, które zresztą zbyt łatwo by się wydało. Zaskoczyło go więc to, co usłyszał, jako jakieś przewracające do góry nogami wszystkie jego pojęcia o życiu i o ludziach zjawisko. Kasjerka wydawała mu się teraz wyjątkowo piękną.

wytworną, rozumną i prawie wściekły był na siebie, że tego wszystkiego nie widział przedtem. Panna Czesława po wybuchu, nad którym nie mogła zapanować, przelękała się trochę swojej szczerości. Robiła sobie wyrzuty w duszy że skoro Przeclawski nie upoważnił jej sam jeszcze do ujawniania swoich zamiarów, to może nie należało o tem mówić. I mimo, że przykro jej było prosić Sobieszczaka o dyskrecję, uznała to za konieczne. Ale tym razem znalazła już w Sobieszczaku słuchacza pełnego delikatnej intuicji, który w lot odgadywał jej myśli. I przyznawał jej zupełną słuszność. Po pięciu minutach rozmawiali, jak para serdecznych przyjaciół, którzy się dzielą dobrymi radami. Wreszcie Sobieszczak zaimponował panie Czesławie najzupełniej. Orzekł, że jako przyszła pani Przeclawska, nie może już siadywać w sklepie, żeby się nie pospolitować. I zarazem, aby ją uchronić od dwuznacznej sytuacji wobec Przeclawskiego, zobowiązał się wypłacać jej, aż do ślubu, pełną pensję. W jego intencji mieściły się zapewne praktyczne wyrachowania na przyszłość, ale panna Czesława rozrzewniona nie chciała ich się domyślać.

### III.

Nazajutrz po kolacji z panną Czesławą Przeclawski obudził się o godzinie szóstej rano i od razu zaczęła go denerwować obawa, że już z powrotem nie zaśnie i znów będzie w ciągu całego dnia niewyspany i zmęczony. Był to objaw, który go prześladował już od jakichś dwóch lat. Budził się zawsze o godzinę albo dwie

zawczasie, z uczuciem podrażnienia, które nie pozwalało mu leżeć w łóżku. To niedosypianie ogromnie go wyczerpywało i fatalnie odbijało na całym jego życiu, ponieważ bywały dni, w które chodził jak senny i poprostu nie rozumiał, co do niego mówiono, albo nawet unikał rozmów, lękając się z góry zbyt wielkiego wysiłku, na jaki musiałby się zdobyć, żeby śledzić uważnie bieg cudzych myśli. Pociągało to za sobą odkładanie najrozmaitszych spraw z dnia na dzień i ciągle, zaległości w interesach, a ponieważ w usposo-

bieniu miał skłonność do pedantyzmu i punktualności, więc poczucie ciągłego zaniedbywania się irytowało go nie tylko ze względu na możliwe niepożądane praktyczne konsekwencje, ale i zasadniczo, jako pewien drażniący dysonans w stosunku do siebie samego. Z początku przypisywał to zbyt wczesne budzenie się różnym zewnętrznym przyczynom i usiłował je usuwać. Z wielkim trudem i kosztami wyszukał mieszkanie, w którym okna kilku pokojów wychodziły na ogród, tak że już go nie dolatywały tam żadne uliczne hałasy, następnie przypuszczając, że go budzi rano światło, które sączyło się przez zwykłe rolety, kazał pozawieszać w sypialni okna czarnymi kotarami, wreszcie zaczął się kłaść bardzo późno, ale i to mu nie pomogło. Przeciwnie, ile razy położył się nad ranem, zawsze po dwóch albo trzech godzinach budził się z fałszywym uczuciem pełnej rzeźwości. Zrozumiał w końcu, że sam sobie rady nie da, zwrócił się do lekarzy; wszystkie kuracje jednak niewiele mu pomogły. Przeclawski nie miał zresztą o to pretensji do lekarzy ani do medycyny. W głębi duszy zdawał sobie dokładnie sprawę, że nie mogli mu radzić skutecznie, nie wiedząc wszystkiego. Otóż spłót tych przyczyn, które go pozbawiały wypoczynku, sięgał w tak tajemne pokłady jego

życia, że zwierzenie się z nich lekarzowi stawało się dla niego absolutnie niemożliwe. Nawet nie przez uczucie wstydu. Teoretycznie zdawało mu się, że w tak ważnej sprawie, jak zdrowie, potrafiłby się zdobyć na szczerość, dochodzącą do cynizmu, tylko gdy wyobrażał sobie po takim postanowieniu rozmowę z lekarzem, nie widział możliwości jej przeprowadzenia z powodu, że, jak mu się wydawało, musiałby przynajmniej przez tydzień o różnych rzeczach opowiadać i jeszcze nie opowiedziałby połowy. I w rezultacie ogarniało go zniechęcenie. Czuł, że na to, aby mu poradzić, lekarz musiałby go poprostu zrobić innym człowiekiem, a to był eksperyment, który, jak ironicznie dowcipkował, przekraczał nawet widocznie możliwości samego Pana Boga, skoro od stworzenia świata nie było jeszcze na to precedensu. Czasami uciekał się do podstępów. Szukał znajomości z lekarzami i w towarzyskich rozmowach opowiadał niektóre swoje nerwowe przeżycia, niby to jako historję, z których zwierzał mu się przyjaciele albo które czytał i starał się w ten sposób wydobyć djagnozę i środki kuracji, bardzo często jednak przerywając i bagatelizując w połowie całe opowiadanie pod wpływem nagłej obawy, że słuchający go lekarz mógł się domyślać podstępu. Pozatem pociągała go coraz bardziej

medycyna sympatyczna i rozmaite eksperymenty których bezsensowne streszczenia czytywał w pismach codziennych. Z rozmaitych odżywczych hormonów, zjadających bakterje protobów tworzył sobie fantastyczny obraz życia organizmu ludzkiego i wizje te raz po raz po okresach najzupełniejszego wyczerpania budziły w nim nagle nową wiarę w zasób zdrowia i sił i otuchę do życia. Narkoza taka jednak działała zazwyczaj tylko na kilka dni, poczem znów zaczynał się szamotać z chorobliwymi lękami. Analizując wciąż jaknajdokładniej i z wielką jasnością sądu te swoje uczucia, które musiał uważać za anormalne, nigdy jednak nie brał pod uwagę choroby, jaką przechodził w młodzieńcych latach. To była dla niego sprawa zamknięta i zakończona. Przystudjowawszy w najgłębszym sekrecie odpowiednią literaturę, doszedł do wniosku, że objawy, jakie w sobie obserwował, nie mogły

mieć z syfilisem nic wspólnego. I ten jeden wniosek stanowił nieomylny dogmat we wszystkich jego chaotycznych, chwiejnych i nieraz w ciągu jednej godziny zasadniczo sprzecznych urojeniach. Światem tajemnym, ponurym, dręczącym, w którym sam przebywał i którego ujawnienie przed kimkolwiek choćby w najdrobniejszej części uważałby za hańbę, było jego życie

erotyczne. Zdawało mu się, że potrafił je kryć w najzupełniejszej tajemnicy, mimo, że w stosunku do innych ludzi bardzo sceptycznie się zapatrywał na tajemnice. Oczywiście podpatrzono te jego najrozmaitsze zatracające skandalem przygody i wytworzyło mu to opinię hipokryty i obłudnego świętoszka, co było tyle niesłuszne, że walcząc w swojej działalności społecznej o zasady najsurowszej moralności, poszanowania rodziny, religii i tradycji, Przeclawski czynił to z jaknajgłębszym przekonaniem. Odstępstwa od głoszonych zasad budziły w nim obrzydzenie do siebie samego, ale wobec pokus był bezsilny. Chorobliwa namiętność, jaka go ogarniała, zabijała w nim wszelkie poczucie woli. Mózg miał wciąż pełen lubieżnych obrazów i właściwie stanowiło to stałe tło wszystkich jego myśli. Raz po raz przyplątywało mu się do głowy jakieś zmysłowe urojenie i żył nim, starając się naginać rzeczywistość do swojej fikcji. W czasie, gdy zbliżył się do kasjerki ze sklepu Sobieszcza, takim urojeniem stała się Maryśka. Pewnego dnia odżyło w nim wspomnienie spędzonej z nią nocy i rozrosło się nagle w gwałtowną zmysłową tęsknotę. W rzeczywistości nie pamiętał nawet, jak ta pokojówka wyglądała i dlatego mógł się dopatrzeć podobieństwa do niej w pannie Czesławie. Anormalność jego

w stosunku do kobiet polegała na tem, że w każdej, która mu się zmysłowo podobała, chociażby w najordynarniejszej ulicznej prostytutce, zakochał się od razu do szaleństwa i przez kilka tygodni, czy czasami chociażby dni, jakie miłość trwała, marzył tylko o tem, żeby ją mieć wyłącznie dla siebie do końca życia. Miłości te kończyły się raptownie, przechodząc w niewypowiedziane obrzydzenie bardzo często po zamienieniu pierwszych kilku słów z istotą, która go przedtem przez szereg tygodni mogła doprowadzać do zupełnego obłędu. Ale w tej chwili zjawiała się jakaś następczyni i rozpoczynała się ta sama historia. Jak ludzie, cierpiący na manję chorób, którzy śmiejąc się z siebie, teoretycznie podlegają wszystkim lękom i wrażeniom urojonej choroby, tak samo Przeclawski cierpiał na manję miłości. Uczucia, o których wiedział z góry, że są fałszywe, dochodziły w nim do najwyższego napięcia. Świadomość dwoistości życia i grzechu, bo wszystkie swoje romanse uważał za grzechy, z których się co pewien czas bardzo sumiennie spowiadał, będąc głęboko religijnym, starał się dla spokoju własnego sumienia wynagrodzić obroną i propagowaniem tych zasad, których sam nie mógł przeprowadzać w całej surowości i czystości w swoim życiu. Stąd

rozwijał się w nim pęd do coraz żywszej i coraz bardziej gorączkowej działalności. Pisywał artykuły, zakładał stowarzyszenia, wygłaszał odczyty, a działalność jego cechowała coraz większa zaciekłość i fanatyzm. W końcu w każdym nieomal przejawie myśli i fantazji ludzkiej dopatrywał się ukrytej groźby dla moralności i przyszłości społeczeństwa. Hałas, z jakim to robił, równoważył rewelacje, dotyczące się jego prywatnego życia. Wśród zwolenników nie tracił miru, bo uważano je za oszczerstwa i wymysły ludzi i tajemnych sekt, którym zależało na doprowadzeniu społeczeństwa do upadku. Przeclawskiemu nie wystarczało to jednak, że był wobec opinii kryty, pragnął przede wszystkim być w zgodzie z samym sobą. Po każdym otrzeźwieniu poprzysięgał sobie zupełną zmianę życia, ale tych postanowień starczyło mu tylko do pierwszej okazji nowego zmysłowego wstrząsu. Przed zobaczeniem panny Czesławy przeżył względnie długi, bo prawie miesięczny okres spokoju, to znaczy urojenie czysto intelektualnych bez

ucieleśnionego przedmiotu pożądania. Zadawała się wspomnieniami Maryski, które przesuwał w pamięci i to mu dało dziecinne złudne wrażenie, że wreszcie sam siłą woli zdołał przewyciężyć swoją manję. Wszystko pękło od razu z chwilą, gdy przekroczył próg sklepu

Sobieszcza. To też kiedy po przebudzeniu się rano odżył w nim obraz wieczoru, spędzonego z kasjerką, ogarnęło go uczucie niewypowiedzianego niesmaku i obrzydzenia. W takich chwilach zazdrościł ludziom, dotkniętym rzeczywistością rozdwojeniem osobowości, którzy, wracając do normalnego życia, ztracali pamięć czynów popełnionych w stanie chorobliwym. Doznawał teraz wrażenia, że przy najmniejszym wysiłku woli mógł być odejść od sklepu i nie zawiązywać znajomości z panną Czesławą, albo jeszcze i potem zapanować nad sobą wieczorem. Jednakże, mimo wszystkich doświadczeń i postanowień, nie zdobył się na ten wysiłek woli. Ze złości i rozpacz był bliski płaczu. Wstał z łóżka i w szlafroku przeszedł do swego gabinetu. Jedną z najmilszych ambicji Przeclawskiego było wytworne urządzenie mieszkania. Uważał i powtarzano mu to nieraz, że nie było w Warszawie drugiego mieszkania urządzonego z takim smakiem i prawdziwie artystycznym umiarem. Każdy sprzęt, każdy dywan, każdy drobiazg zwracał uwagę jakąś wysoką i wyjątkową wartością. I gdy go ogarnęła ta atmosfera domu, tem komiczniejsze wydały mu się wczorajsze zaloty do sklepowej kasjerki. Ale z całą instynktowną odrazą, jaką budziło w nim jej małomieszczaństwo, łączyła się z góry obawa, że w ciągu

dnia uczucie mu się odmieni i że ulegnie znów pokusie. Wieczorem miał wygłosić odczyt i na biurku leżał gotowy już rękopis. Przeclawski zaczął machinalnie przerzucać kartki i pod wpływem rozpacz przychodziły mu do głowy pomysły jakiejś skruchy w rosyjskim stylu. Że zamiast prawić nauki, które w jego ustach były tylko pustymi frazesami, powinien był wyznać słuchaczom całą prawdę o sobie. I zaczął się zastanawiać nad wrażeniem — jakie by to wywołało. Zamyślony powtarzał machinalnie półgłosem "Przeclawski o sobie", "Prawda o Przeclawskim". Cały dzień przeżył w uczuciu dręczącego niesmaku i uspokoił się dopiero przed samym odczytem, gdy napisał do panny Czesławy, naznaczając jej spotkanie na dziesiątą wieczorem. Ogarnęła go buntownicza determinacja.

— Trudno, jaki jestem, taki jestem.

Postanowił ją sprowadzić do siebie na noc. Od dłuższego już czasu, aby uniknąć kontroli, nie trzymał stałej służby. Kucharka i lokaj odchodzili wieczorem i nocowywał zawsze sam. Był to naiwny wybieg, ponieważ w kamienicy doskonale wiedziano o wizytach, jakie mu składały różne damy. Przeclawski jednak żył złudzeniem, że to go zabezpieczało od plotek; wogóle we wszystkim, co dotyczyło jego manji, był najzupełniej bezkrytyczny. Przeprowa-

dziwszy Czesławę, której naznaczył spotkanie w niewielkiej cukierence o kilka kroków od domu, kazał jej nie tylko wejść oddzielnie, ale jeszcze w bramie zapytać dozorcę o adwokata, który mieszkał nad nim. Był przekonany, że w ten sposób odwraca już od siebie możliwość wszelkich podejrzeń.

Przeclawski nie wiedział, że panna Czesława była na jego odczycie. Wybrała się w towarzystwie Sobieszcza, który wpadł w istny szal nadszkania swego kasjerce. I może większą rolę odgrywał w tem bezinteresowny instynkt służalczości, niż wyrachowanie. Dla panny Czesławy odczyt stał się nowym olśnieniem. Przeclawski mówił o konieczności walki z nędzą, ponieważ głód i nędza budzą rozgoryczenie a rozgoryczenie prowadzi do myśli o przewrocie. Panna Czesława co chwila jednak traciła wątek odczytu. Była zbyt wzruszona, żeby móc uważać. Przy każdym wybuchu oklasków chwyciła ją nerwowe drżenie ust i w końcu całą swoją uwagę i wysiłek woli skierowywała już tylko na to, żeby się nie rozplakać. To wzruszenie

pozostało jej i po odczycie. W cukierni i w drodze do domu nie odzywała się do Przeclawskiego, bo nie wiedziała, jakimi słowami wyrazić mu swoje bezgraniczne uwielbienie. Wskutek tego nastawienia umysłu nie zwróciła nawet uwagi na

przepych mieszkania, co w innym nastroju zajęłoby ją, ma się rozumieć, przedewszystkiem. Automatycznie usiadła w fotelu, który jej wskazał Przeclawski i nagle nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Rozplakała się głośno. Przeclawski w drodze do domu był nie mniej zdenerwowany, niż panna Czesława. Dopiero, gdy się zatarasował w mieszkaniu i odciął od świata, wyraz twarzy mu wypogodniał. W tej samej chwili jednak spłoszył go wybuch płaczu kasjerki. Spojrzał na nią przerażony i bezradny.

— Co się pani stało?

— Nic, nic, nic, — odszepnęła, starając się ułożyć drżące usta w uśmiech.

— Więc czego pani płacze?

— Z radości.

— Z radości? — uśmiechnął się Przeclawski. — Boże, jakież z pana wielki człowiek.

— Skąd pani doszła do tego wniosku?

— Słyszałam, jak pan to mówił.

— Ach, to pani była na moim odczycie.

W ciągu tej krótkiej rozmowy panna Czesława uspokoiła się tyle, że mogła już spokojnie obserwować Przeclawskiego. I zauważyła na jego twarzy ten sam zmieniony wyraz, jaki już widziała w gabinecie. Oczy mu się roziskrzyły, twarz poczerwieniała. I nagle gwałtownym ruchem osunął się przed kasjerką na kolana.

— Cześka, moja kochana Cześka — wybełkotał takim głosem, jak gdyby był pijany.

— Niech pan wstanie.

— Nie.

— Ja się wstydzę.

przeclawski zsunął jej suknię z kolan i gorączkowo zaczął odpinać podwiązki. Usiłowała przytrzymać pończochy ręką, ale Przeclawski wykręcił jej palce z taką siłą, że aż syknęła z bólu. Zerwał jej pantofelek i ściągnął pończochę. Panna Czesława przymknęła oczy i postanowiła już się nie sprzeciwiać. W głębi duszy podobała jej się gwałtowność Przeclawskiego. Widziała w tem poetyczny obraz szalu. Nie przeczuwała jednak, że w tej sekundzie ważyły się jej losy. Ściągając jej pończochę, Przeclawski wyczuwał przelotny niepokój, czy nie spotka go rozczarowanie. Erotomanja jego, szukająca ciągle ujścia w wyobraźni, była bardzo kapryśna i zdarzało mu się nieraz, że pod wrażeniem jakiegoś drobnego szczegółu czy w budowie ciała czy nawet w ubraniu przechodził gwałtownie od najwyższego napięcia zmysłów nie tylko do zubożenia ale nawet do obrzydzenia. I sprawiało mu kłopot pozbywanie się kobiet, dla których szalał jeszcze przed chwilą. Dzięki jednak swej manji kosmetycznej, panna Czesława miała nogi utrzymane z niesłychaną starannością, Przeclawskiego

napelniło to poprostu szczęściem. Ujął jej stopę w dłoń i przyglądał się z lubieżnym zachwytem. Po chwili odezwał się, podnosząc wzrok ku kasjerce.

— Słyszałaś, jak mi bili oklaski? Pytanie to wydało się pannie Czesławie tak nieodpowiednie do nastroju chwili i pozycji Przeclawskiego, że w zdumieniu, jakie ją ogarnęło, było coś mrozącego. Odparła jednak.

— Słyszałam.

— Wszyscy, cały tłum — ciągnął gorączkowo Przeclawski.

— Wszyscy.

— To był hołd dla mojej głowy — prawda? Wszystko, co Warszawa ma najlepszego, najaktualniejszego, zebrało się, żeby słuchać moich myśli. Teraz je powtarzają,

zastanawiając się nad nimi i obudzają się jutro lepsi i mądrzejsi. Z tej głowy promieniuje światło, które im będzie wskazywało drogę w życiu. Rozumiesz teraz, co to jest moja głowa.

— Rozumiem.

— I dlaczego jej składają hołdy.

— Tak powinno być.

— Wierzysz w to, co mówisz? Z całej duszy.

— Jakżeż bym nie wierzyła. Ja pierwsza...

— Nie, ty nie — przerwał jej niecierpliwie Przeclawski. I bełkotał dalej prawie już nieprzytomnym głosem.

— Ty masz inne prawa. Wszyscy wielbią moją głowę, wszyscy składają jej hołdy, a ty ją depczesz. I pochylając twarz do samej podłogi, postawił sobie na łysinie stopę panny Czesławy.

— Ty depczesz... z pogardą, z bezlitosnym okrucieństwem samicy... Depcz, depcz, — krzychał usiłując się bić po czaszce stopą ogłupiałej znowu panny Czesławy.

— Co pan robi. Co robisz? — wykrztusiła wreszcie. Nikt ciebie tak nie wielbi, jak ja. Takie rozumne rzeczy mówiłeś. I wszystko z pamięci.

Ale to z głębi serca płynące uznanie wywarło na Przeclawskim zgoła odmienne wrażenie, niż się panna Czesława mogła była spodziewać. Zachnął się niecierpliwie.

— Nie pleć gupstw.

— Jakto.

— Nie mów nic.

Następnie ściągnął jej drugą pończochę i wycalowaławszy nogi, uspokoił się nieco, czy też poprostu zmęczył zbyt długim pozostawaniem w niewygodnej pozycji. Podniósł się kryjąc zadyszanie i w milczeniu kilka razy przeszedł po pokoju. Panna Czesława śledziła go rozkochanym spojrzeniem. W marzeniach o miłości wyobrażała sobie nieraz hołdy męż-

czyn i układała w myślach fantastyczne wyznania, które później, gdy ją podniecenie mijało, wydawały jej się niemożliwie głupie z powodu przesady. Nawet wobec siebie samej wstydziała się czasami tych wybryków wyobraźni. A jednakże wszystko to było blade i przedziwnie skromne wobec rzeczywistości, Mimo całego upojenia jednak niecierpliwiło ją zbyt długo przeciągające się milczenie Przeclawskiego. Cisnęło jej się mnóstwo pytań na usta, nie śmiała jednak odzywać się pierwsza. Wogóle inaczej nieco wyobrażała sobie ten wieczór. Sądziła, że go spędzą na rozmowie o przyszłym życiu i tylko taka rozmowa byłaby jej sprawiła naprawdę przyjemność. Było rzeczą zupełnie naturalną, że rozkochany w niej do szaleństwa Przeclawski chciał ją całować i pieścić, ale przecież na wszystko jest pora — myślała. Gdyby rzeczywistość miała się układać według jej myśli i pragnień, to Przeclawski powinien był zacząć od pokazania jej całego mieszkania, którego była niesłychanie ciekawa. Przechyliła się na fotelu, żeby przez uchylone drzwi mieć spojrzenie na salon. I wyrwało jej się machinalnie z ust.

— Jak ty ślicznie mieszkasz. Przeclawski spojrzał na nią z uśmiechem.

— Podoba ci się.

— jeszcze by też — wykrzyknęła z zachwytem. Pojęcia nie miałam, że ludzie mogą tak mieszkać.

— Jeżeli ci się moje mieszkanie podoba, to dowód, że masz wrodzony instynkt estetyczny — odparł Przeclawski. I nagle wzruszył ramionami.

— Mówię "moje mieszkanie". Twoje a nie moje. To wszystko będzie twoje.

Panna Czesława skorzystała z okazji, żeby przejść do niecierpliwych ją tematów.

— Prędko?

— Jak tylko uzyskam rozwód.

— A kiedy uzyskasz?

— O, sprawa już na ukończeniu. Za kilka tygodni.

— T odrazu weźmiemy ślub?

— Odrazu.

— Ja tak chciałam z tobą porozmawiać — odezwała się po chwili nieśmiało.

— O czym.

— O tem co będzie.

Przeclawski popatrzył na nią z uśmiechem.

— I ja chcę z tobą pomówić.

— Naprawdę — wykrzyknęła radośnie, niewypowiedzianie wdzięczna za to, że tak jej ułatwił rozmowę. Ale zaraz po pierwszych słowach ogarnęło ją rozczarowanie.

Temat

przyszłości w ujęciu Przeclawskiego był zupełnie inny, niż sobie wyobrażała. Był to rodzaj programu rozkoszy erotycznych, przyczem sceny, jakie mieli przeżywać, Przeclawski odmalowywał z taką drobiazgowością, że wreszcie uczucie wstydu zaczęło się w niej łączyć z obrzydzeniem. Ale napróżno go błagała, żeby zaprzestał. Mówił z coraz większym zapałem i na nim samym wywierało to widocznie coraz silniejsze wrażenie, gdyż trząsał się, jak w febrze. Jednym tylko rozbierał pannę Czesławę, mianowicie, że uporczywie, conajmniej kilkanaście razy dopytywał się jej, czy uświadamia sobie dokładnie cały ogrom łaski, jaki mu wyświadcza przez to, że zgadza się do niego należeć. Kasjerka nie przypuszczała, że mężczyźni uważają to za tak wielką łaskę i delikatność Przeclawskiego była dla niej dowodem, że ją kochał nie tylko głęboko ale i poetycznie.

Wyszła od Przeclawskiego o dziesiątej rano tak zmęczona, że się ledwo trzymała na nogach, ale szczęśliwa i dumna. Wszystkie ohydne wrażenia nocy zatarł w niej symbol tryumfu — zaręczynowy pierścionek. Ten akt zaręczyn odbył się niespodziewanie w chwili gdy wbrew wszelkim wyrachowaniom obrzydzenie tak ją pchało do buntu, że już przestawała panować nad sobą. Pierścionek uratował

sytuację. Przeclawski wydobyl go z jakiejś skrytki w biurku i, wkładając pannie Czesławie na palec, przeproszał za skromność podarunku, co wydało jej się poprostu dziwactwem, gdyż brylant ją oczarował. Przez chwilę niezdolna była o niczem myśleć i napawała się wprost fizyczną rozkoszą, jaką jej dawała gra mieniących się kolorów. Po zachwycie przyszło wzruszenie. Przeclawski, tuląc ją do siebie, zaczął jej opowiadać szeptem, że pierścionek był pamiątką po jego matce, i że trzymał go dotychczas w ukryciu, ponieważ nie spotkał jeszcze w życiu istoty, którąby uważał za godną tak bezcennej dla niego pamiątki. Ma się rozumieć, nie było w tem wszystkim ani słowa prawdy. Kupił pierścionek przed rokiem przeznaczając go dla pewnej chórzystki z kabaretu, dla której chwilowo po swojemu oszalał, nim jednak zdążył podarunek wręczyć, przyszło rozczarowanie i brylant pozostał mu do następnej okazji. Cała legenda zaś, jaką dorabiał do pierścionka, wynikała z chorobliwej właściwości podniecania się sentymentalnymi suggestjami. Ale w te swoje komedje wzywał się tak głęboko, mówił z takim przejęciem i szczerem wzruszeniem w głosie, że panna Czesława nie mogła mu nie wierzyć. I uwierzyła, że była pierwszą jego wielką miłością w życiu. Z poczuciem rozkoszy i dumy uświa-

damiała sobie, że nawet żonie Przeclawski nie ofiarował pamiątkowego pierścionka.

Sobieszczak stał się teraz powiernikiem jej miłości i pragnęła jaknajprędzej pokazać mu realny dowód zaręczyn. Zabrakło jej jednak sił, żeby iść do sklepu. Położywszy się do łóżka, przespała cały dzień do zmierzchu. Pierwszą myślą, jaka jej przyszła po przebudzeniu, było: Jestem pani Przeclawska. Roześmiała się radośnie i powtórzyła to kilka razy głośno. Potem przeleżała jeszcze godzinę marząc i rozmyślając. Wyraźnie zdawała sobie sprawę, że Przeclawski nie był zupełnie normalnym człowiekiem, ale przypisywała to osamotnieniu, w jakim spędził dotychczasowe swoje życie. Sam jej mówił, że nigdy nie miał nikogo naprawdę bliskiego przy sobie. I najbardziej wzruszające dla panny Czesławy było to, że nie żałował tej pustki. "Widocznie los chciał, żebyś ty i tylko ty była całym moim szczęściem" — dzwoniły jej wciąż w uszach jego upajające słowa. I, odrzucając już wszelkie wyrachowania praktyczne, czuła, że sama go kocha nad życie. Wciąż wmyślała się przytem w podobieństwo ich losów. Tak samo, jak Przeclawski, szła przez życie osamotniona i naprawdę nigdy nie miała przy sobie nikogo bliskiego. Było więc w ich spotkaniu tajemnicze przeznaczenie szczęścia.

Potem myśli jej przybrały znów praktyczny kierunek. Jeżeli wszystko, co w Przeclawskim było anormalnego, niesympatycznego, i co ją raziło, wynikało z braku w jego życiu kochanej kobiety, to pod jej wpływem powinien się być zmienić. Nie miała wątpliwości, że to nastąpi. I od razu zaczęła układać pewien plan, jakgdyby moralnej kuracji Przeclawskiego. Przypomniawszy jej się przeczytany kiedyś aforyzm, że w stosunku do kochanego mężczyzny każda kobieta jest trochę matką i zaczęło jej się to w tej chwili wydawać najmądrzejszym wskazaniem na ich przyszłe życie. Postanowiła postępować z Przeclawskim tkliwie i łagodnie, jak matka.

Drogę z domu do sklepu panna Czesława знаła tak, że na pamięć z zamkniętymi oczami potrafiłaby wymieniać po kolei wszystkie szylidy. Ta droga, niezbyt daleka zresztą, napelniała ją zawsze nudą i obrzydzeniem, zwłaszcza w te dni, najliczniejsze, kiedy nie mogła sobie pozwolić na żadną rozrywkę i musiała wprost od pracy wracać do mieszkania. I nagle cały ten beznadziejny i tysiąc razy przeklęty obraz zmienił się jej w oczach do niepoznania. Szła i takim wrażeniem, jakgdyby się znalazła w zupełnie nowym mieście. Mimo mgły i błota ulica wydała jej się dziwnie wesoła i pełna tycia. Zatrzymała się przed wystawą jubilera i przed składem futer i w nieokreślone zdumienie

wprawiało ją poczucie, że wszystkie te najkosztowniejsze rzeczy stawały się dla niej dostępne. Ale zaraz doświadczyła jakgdyby skruchy, że widzi przed sobą tylko zamożność, zamiast myśleć w takiej ważnej i przełomowej chwili życia o poważniejszych celach. I już świadomie starała się utrwalić w sobie to uczucie. Odwracała wzrok od kuszących ją wystaw sklepowych i wciąż zgarniała rozlatujące się myśli do tego głównego, najpoważniejszego tematu, jak ma postępować, żeby wyrzucić dodatni wpływ moralny na Przeclawskiego.

W sklepie był tylko Józio. Mimo, że ani panna Czesława, ani Sobieszczak nie wtajemniczali go w to, co zaszło, wiedział o wszystkim. I patrzył na kasjerkę z nienawiścią, z całego serca życząc jej w duszy kompromitacji i zawodu, co wynikało z najzupełniej bezinteresownego uczucia zawiści, ponieważ nie miał najmniejszej przyczyny, aby jej źle życzyć. Zarazem zdwoił to uczucie lekceważenia, z jakim się do niej odnosił, żeby jej pokazać, że sobie nic z niej nie robi. Przywitał ją drwiącym uśmiechem.

— Pokazała się pani. Na dziesięć minut przed zamknięciem nie warto się było fatygować.

Panna Czesława miała już na ustach krótką odpowiedź "Dureń", ale zapanowała nad sobą. Wiedziała, że teraz na jedno jej słowo Sobieszczak

wyrzuciłby Józia i dlatego właśnie stłumiła w sobie odruch oburzenia. Stwarzając sobie różne nakazy na przyszłość, postanowiła przede wszystkim być dobrą i wyrozumiałą dla istot od siebie niższych. Tak w ostatniej fazie rozmyślań ukształtowało się w niej pojęcie prawdziwej pani. Po chwilowym wahaniu odezwała się tonem tak łagodnym, że aż przechodził w pokorny.

— O cóż pan się gniewa?

Józia zaskoczyło to trochę. Ale od razu odzyskał pion moralny.

— Jeżeli pani myśli, że mi pani imponuje, to się pani grubo myli.

— Ja wcale panu nie chcę imponować.

— To mi proszę głowy nie zawracać — wykrzyknął, czerwieniejąc z gniewu. Sam bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, że awantura z panną Czesławą mogła mieć dla niego jaknajfatalniejsze następstwa, ale już go zawiść poniosła. Panna Czesława wytlómaczyła sobie jego wybuch inaczej. Przyszło jej na myśl, że Józio napewno skrycie się w niej kochał i że w ten sposób ujawniała się w nim zazdrość. Wzbudziło w niej to sympatje i politowanie dla biednego chłopca. I, starając się nie wychodzić z narzuconej sobie szlachetnej roli, odezwała się jeszcze pokorniejszym tonem.

— Panie Józiu.

— Czego pani chce?

— Przecież my możemy żyć w przyjaźni, — Niechżeż się pani raz do djabła odemnie odcepi.

We drzwiach ukazał się nagle Sobieszczak. Wszedł pospiesznie, nachmurzony i zatrzymawszy się przed panną Czesławą, przez chwilę patrzył na nią wzrokiem, w którym malowała się najwyraźniej jadowita pogarda. Kasjerce wystarczyło to spojrzenie. Zrozumiała, że wisi nad nią jakaś katastrofa. Nogi ugięły jej się w kolanach i machinalnie oparła się o kontuar. Józio rozpromieniał w radosnym oczekiwaniu.

— Wie pani co się stało? — zasyczał wreszcie Sobieszczak.

— Skądże ja mogę wiedzieć — ledwo wykrztusiła z siebie.

— Przeclawski zwarzował. Milczeć! — zgromił Sobieszczak Józia, który wybuchnął piskliwym śmiechem.

— Zwarr... — zaczęła bezmyślnie powtarzać i drzenie ust nie pozwoliło jej skończyć wyrazu.

— Tak. Zwarzował dzisiaj przed południem. Już go odwieźli do szpitala. — Jak mi się jeszcze raz uśmiechniesz, to won, na oczy mi się nie pokazywać — wybuchnął znów Sobieszczak, zwracając się do Józia. Taki człowiek, taka chwała narodu i kto by się mógł spodziewać nieszczęścia. Ja sam mało nie zwarzowałem, jak.

mi to powiedzieli — ciągnął podnieconym tonem, spacerując po sklepie. — Bronił kraju przed zalewem zgnilizny, przed zepsuciem, przed bezbożnością i zwarzował. To wszystko kara Boska na to społeczeństwo.

I przechodząc nagle od wielkiej troski patriotycznej do małych uczuć swego osobistego światka, Sobieszczak zwrócił się do panny Czesławy. W oczach znów mu zamigotała złośliwość.

— Cóż pani tak jak słup stoi. Teraz wszystko rozumiem. Jak się z panią chciał żenić, to już mu się w głowie psuło. Bo niby skąd! Przeclawski z kasjerką ze sklepu. I...

Odwrócił się gwałtownie i splunął z obrzydzeniem na podłogę.

— Czy ja mogę iść? — szepnął pokornie Józio.

— Idź, tylko jutro mi się nie spóźniaj. Po wyjściu Józia Sobieszczak znów wpadł w elegijny nastrój. Przeliczając zawartość kasy, kiwał głową i raz po raz mruzczał pod nosem "Taki człowiek, taka strata dla całego kraju". Wreszcie, schowawszy pieniądze po kieszeniach, zwrócił wzrok na pannę Czesławę, która

stała, jak skamieniała.

— Skończyło się hrabiostwo. Kto inny wyrzuciłby panią za takie awantury na bruk, ale ja z litości mogę panią zatrzymać. I jeszcze

jedno mogę dla pani zrobić. Odkupię pierścionek. Niechno go pani pokaże.

Ale panna Czesława cofnęła ręce w tył.

— Czy pani zawarjowała. Ja kasjerki z brylantami na palcach nie będę trzymał. Jak pani chce damę udawać, to proszę szukać innego miejsca. Ale ja za te ostatnie dni wytracę.

— On nie zawarjował — odezwała się nagle panna Czesława z taką mocą przekonania w głosie, że Sobieszczak spojrział na nią z mimowolnym przestraszaniem, bo mu błysnęło w myśli, że pod wrażeniem nieszczęścia i ona zawarjowała.

— Jakto nie?

— Nie zawarjował. Wczoraj tak prześlicznie, tak mądrze mówił i dziśby zawarjował. Nieprawda. Porwali go i zamknęli.

Sobieszczak spojrział na pannę Czesławę ze zdumieniem.

— Kto?

— Kto? Żona i rodzina, żeby nie dopuścić do naszego małżeństwa. Mało to miał wrogów. Razem się zwąchali i zamknęli go, czy to się raz zdarza. Ale ja nie ustąpię, niebo i piekło poruszę, żeby go wydobyć. Nie ustąpię! — krzyczała, zaciskając pięści i grożąc niemi niewidzialnym wrogom.

#### IV.

O czwartej po południu na werandę willi wynajmowanej przez Witeckich w Urlach już od kilku lat z rzędu, przyszedł Lejzor, jeneralny dostawca wszystkiego, czego wymagało prowadzenie gospodarstwa na lotnisku. Był to wysoki, pulchny żyd z rudą, rozłożystą brodą i niebieskimi oczami, który się tem odznaczał, że zawsze miał doskonały humor i wiecznie podśpiewywał. Witeccy znali go od czasu, gdy zaczęli przyjeżdżać do Urli i pani Witecka już by sobie nie potrafiła wyobrazić bez niego lata. Nie było sprawunku, którego Lejzor nie podjąłby się załatwić, a o pieniądzach odzywał się z takim lekceważeniem, jakgdyby uprawiał handel, jako sztukę dla sztuki. Kiedy Witecka zaczynała mówić z nim o rachunkach, machał ręką i odpowiadał wesoło:

— To bajki, proszę pani.

Lejzor był wdowcem z trojgiem dzieci i miał sto dolarów długu. Wobec tego szukał żony ze stoma dolarami posagu i tego lata wreszcie po długich staraniach udało mu się wynaleźć w miasteczku pannę, trochę wybrakowaną, jak utrzymywali inni dostawcy, ale która mogła zaciągnąć sto dolarów pożyczki na posag. Na tej kombinacji finansowej Lejzor budował swoją przyszłość i patrzył w nią z niezamąconym optymizmem. Potrzebę małżeństwa uzasadniał zresztą inaczej. Zawsze powtarzał Witeckiej:

— Żona na to potrzebna, z przeproszeniem pani, żeby się przy niej położyć.

Przecież przy tej, co umarła, ja się w ziemi nie położę.

Jak wszyscy wiejscy żydzi, do chłopów czuł albo pogardę, gdy mu się udało coś od nich wytargować, albo nienawiść, gdy się spotykał z twardym, niewzruszonym uporem, wobec którego stawały się bezsilne wszystkie jego perswazje, krzyki, lamenty i zaklinania. Zresztą zdolny był do pewnych porywów bezinteresowności w oddawaniu drobnych przysług i za nie wchodzące w zakres ich ścisłych handlowych stosunków bieganiny, któremi go czasami obarczała Witecka, nie chciał brać napiwków.

— Niech pani to idzie na dobre zdrowie — dziękował.

Z tego rodzaju objawami sympatii Witeccy nie spotykali się u chłopów i tłumaczyli to sobie wypaczeniem charakteru ludu wiejskiego przez wojnę, w czym oddawali się zresztą przyjętej przez większość fikcji, ponieważ małostkowość i nieubłagana chciwość tego ludu była taka sama przed wojną, jak i po wojnie. Z końcem lata pani Witecka wymyślała zawsze Lejzorowi od szachrajów i przysięgała, że na rok przyszyły progu przestąpić mu nie pozwoli, co nie przeszkadzało, że, gdy w Warszawie Lejzor odwiedzał Witeckich, zawsze był mile witany i dostawał wielki kielich wódki, który wypijał kładąc czapkę na głowę i zagryzając kawałkiem cukru, Wizyty jego regulowały pory roku. Bezpośrednio po wakacjach, z rozpędu letniej przyjaźni, bywał częstym gościem, mniej więcej raz na dwa tygodnie. Trwało to do połowy listopada. Potem na głuchą zimę przepadał i zjawiał się znów w jakąś marcową odwilż z wiadomością, że już domy oglądają i wynajmują, i że chłopcy powarjowały, bo za byle budę chcą ogromne pieniądze. Kapota Lejzora śmierdziała kożuchem, śledziami, błotem, ale z tem wszystkim mieszało się pachnące tchnienie rzeźkiego wiejskiego wiatru. I to jego przyjście w ciemne dżdżyste popołudnie, gdy jeszcze trzeba było palić lampy, stawało się w mieszkaniu

Witeckich jakby pierwszą zapowiedzią lata i słońca.

Tego popołudnia Lejzor wezwany był na rozprawę z powodu kaczek, które według pani Witeckiej skompromitowały ją wobec gości z Warszawy.

— Lejzor taki zdierus, że aż obrzydliwość bierze — krzyczała rozirytowana.

— A poszły państwu na dobre zdrowie?

— Wcale na nich mięsa nie było! Chude, jak szkielety!

— Młode, to sam smak. Ja wiem, co dla delikatnego państwa potrzeba. Kaczki były, jak malina.

Ku uciesze Lejzora tę niemiłą dla niego rozmowę przerwało nagłe ukazanie się na werandzie starszej córki Witeckich, Krzysi. Była to dwudziestodwuletnia dziewczyna, średniego wzrostu, mocno zbudowana, z olbrzymią ciemną czupryną, która opadała jej prawie aż na same brwi. Włosy wiły jej się w naturalne loki, miała krótki mięsisty nos, usta zarysowane w łuk i bardzo jasne oczy.

Charakterystyczną cechą tej twarzy, przebijającą się zarówno w uśmiechu, jak i w spojrzeniu, była szczerłość i zachowatość. Nogi miała gołe, opalone na brązowo, i kusiutką jaskrawo - pomarańczową sukienkę.

Krzysia od roku studjowała prawo na uniwersytecie. Według matki, studja te bardzo źle wpłynęły na jej charakter. Zrobiła się podobno oschła i kostyczna. W rzeczywistości Krzysia posiadała umysł żywy i ścisły i doprowadzała matkę do rozpaczki logicznymi odpowiedziami. Pani Witecka siwiała i malowała sobie włosy, a ponieważ była bardzo oszczędna więc starała się to robić jak najrzadziej, wskutek czego co kilka tygodni stawała się graniasta i do największej furji doprowadzało ją to, gdy ją Krzysia namawiała do pójścia do fryzjera. Krzysia zaś robiła to już zawsze z pewną złośliwą intencją, aby dokuczyć matce, wzamian za ciągle docinki na temat uczonych córek. Pani Witecka uznawała potrzebę wyższego kształcenia, ale pragnęła, aby Krzysia wstąpiła na agronomję, gdyż zrobiły to dwie jej gimnazjalne koleżanki, które nie kończąc studjów, powydawały się zamąż za swych kolegów, młodych obywateli ziemskich. Wobec uporu Krzysi, wyzbytej zupełnie snobistycznego kultu ziemiaństwa, pani Witecka wszystkie swoje nadzieje przeniosła na młodszą córkę Helę, która dopiero była w ósmej klasie. I z tej strony jednak przygotowywało się dla niej rozczarowanie, ponieważ pod wpływem siostry Hela coraz częściej wspominała o wstąpieniu na wydział matematyczny.

Witecka pragnęła jaknajprędzej wydać córkę zamaż, gdyż była sentymentalna i wciąż marzyła o wnukach. Drugim jej marzeniem, z którego za nic nie chciała zabdykować, było znalezienie kochanka. Wskutek tego, gdy koło córek kręcili się młodzi ludzie, ogarniało ją czasami niewytłumaczone rozdrażnienie, którego źródło istniało w podświadomej zazdrości. Nie zdając sobie z tego sprawy, Witecka w takich chwilach złego humoru sądziła zawsze, że przyczyną tego była demoralizacja i złe wychowanie współczesnej młodzieży. Męża swego kochała bardzo.

Wbiegłszy na werandę, Krzysia zwróciła się odrazu do Lejzora.

— Czy Lejzor nie wie, jak się nazywa ten młody pan. co chodzi w czerwonym swetrze z takim dużym dogiem?

Witecka skrzywiła się odrazu.

— Dałabyś już raz spokój z tem ciągłym dopytywaniem. Co cię to może obchodzić, jak się jakiś dureń nazywa.

— Skądżeż mama wie, że to dureń?

— Dość spojrzeć na minę.

— Więc i mamę interesuje, skoro mu się mama przygląda.

Witecka wzruszyła ramionami i wyszła do pokoju.

— Wie Lejzor, dopytywała się Krzysia.

— Lejzor by czego nie wiedział? On mieszka po drugiej stronie plantu w dworskim domu. Nazywa się pan Henio. Ale on do Urli niedawno przyjechał. Dopiero tydzień temu. Przedtem był ze swoją mamusią nad morzem. Ona jest wdowa, bardzo bogata.

— A ten drugi, co z nim razem chodzi, taki chudy, wysoki?

— Taki chudy, wysoki? Ja nie wiem — zastanowił się Lejzor. Z nim dużo chodzi, bo on się lubi bawić. Żebym ja miał tyle pieniędzy, toby ze mną wszyscy chodzili.

Ale ja się dowiem, kto ten chudy.

W tej chwili z poza gęstych krzaków jałowcowych, które rosły wzdłuż ścieżki, prowadzącej do drogi pod werandę, rozległ się roześmiany głos.

— Ja już wiem, już wiem. I zaraz potem pisk.

— Oj, jakżeż kłuje!

Przez gałęzie przesunęła się młodsza Witecka, Hela. Była bardzo podobna do siostry, ale brzydsza. Mocna budowa Krzysi u niej przechodziła już w krepkość.

Rysy miała bardziej nieregularne i tylko oczami dorównywała siostrze. Z pod króciutkiej sukienki jaskrawo-zielonego koloru świeciła gołemi łydkami, również opalonymi na ciemno. We włosach miała pełno sosnowych szpilek i trawy.

— To korepetytor tej czerwonej małpy. Słuchacz medycyny.

— Jakto korepetytor? zdziwiła się Krzysia.

— No, bo ten pan Henio nie ma jeszcze matury. Byczysko skończyło dwadzieścia cztery lata, i nie może przebrnąć. Będzie zdawał jako ekstern. A ten twój chudzielec go przygotowuje. Tylko nie wiem, kiedy się uczą, bo Henio cały boży dzień siedzi z psem na stacji.

— O patrz, patrz — wykrzyknęła, pociągając siostrę za rękę o kilka kroków w bok, gdzie między drzewami otwierał się widok na polankę, prowadzącą aż do plantu. Naukos przez trawę szli w stronę domu pan Henio z korepetytorem. Minęli willę o kilka kroków od werandy, tak, że obie dziewczyny przestały rozmawiać, i nawet odwróciły głowy wobec wyzywająco aroganckich spojrzeń Henia, dumnie wypiętego w swoim czerwonym swetrze. Korepetytor zamyślony, nawet nie zwrócił na nie uwagi. Gdy zniknęli za drzewami, Hela zwróciła się do siostry:

— Masz dobry gust. To ładny chłopak.

— Właśnie, nie. Nie jest ładny, tylko ciekawy.

— Ciężki los musi mieć z tym uczniem — westchnęła, śmiejąc się równocześnie Hela. — Takiego błazna to tylko wsadzić w maszynkę od mięsa i posiekać.

— Ja lubię typ twarzy z takimi zrosniętymi brwiami — ciągnęła Krzysia.  
— To coś oznacza, tylko zapomniałam co. Silną wolę? Czy temperament?  
Spojrzała pytająco na siostrę.  
— Musi mieć temperament, kiedy mnie się podoba.  
— No i coś ty dalej zamysłasz? Krzysia wzruszyła ramionami.  
— Nic.  
— Jakby się tu u licha z nim poznać? — zastanawiała się Hela. — Tańcówki się skończyły, na plaży ich nie widać, a bez tego Henia wcale się nie rusza. Ba, żeby nie Henio, tobym go sama zaczepiła.  
— Już ja coś wymyślę. Nie będę dalej czekała z założonemi rękami.  
— Chodźmy za nimi na stację. Udam, że mnie dog pokąsał.  
— Wyczesz żeż w takim razie te śmiecie z włosów.  
— Wszystko jedno. Przecież to nie dla mnie, tylko dla ciebie. Zresztą, jak kto ma się podobać, to i tak się podoba.  
Rozmawiając, obie siostry skręciły za dom i wyszły na jezdnię drogę, przecinającą w poprzek las, w którym stały domki letników. Las w tem miejscu, na przestrzeni kilkuset kroków, był dość rzadki i tu i owdzie podbity

wrzosem, na którym się roiło pełno błyszczących owadów, mieniąc się wszystkimi możliwymi barwami w słońcu. O tej porze w pierwszych dniach września, po okresie tłumnych wyjazdów, kiedy pociągi odchodziły z dwu i trzygodzinnem opóźnieniem, a na stacji obok zaimprovizowanej w płóciennym namiocie kasy bagażowej piętrzyły się stopy łóżek, tobołów wózków dziecińczych, leżaków i koszów tak rozepchanych, że przez szpary wylażyły z nich skrawki pościeli i rondle, letnisko znacznie już opustoszało. Z sąsiedniego domu, który miały po drodze, lokatorzy wyjechali i okna były zabite na zimę deskami. Przy kuchennym ganku pozostały jeszcze ślady wyprowadzki, strzępy gazet, jakieś pudełka, flakony od Urodonału i resztki startej słomy z sienników, niezużytej do pakowania. Od frontu dwa niedoleżnie skopane klomby świeciły nagą ziemią po wyrwaniu kwiatów z jakąś cmentarną melancholią. Ale te ostatnie tygodnie były według Witeckich najmiłsze. Same miały pozostać do piętnastego października. Wprawdzie w gimnazjum Heli zaczęły się już lekcje, ale ponieważ Witecki jeździł codziennie do Warszawy, więc i Hela razem z ojcem dojeżdżała do szkoły. Tego dnia wyjątkowo tylko zrobiła sobie święto. Dni były jeszcze bardzo gorące, a ranki rozkosznie świeże. Teraz dopiero można się było kąpać przyjem-

nie w Liwcu, kiedy na plaży nie było już nieznośnego tłoku i ciągłych wrzasków matek, wyprowadzających dzieci na najpłytszą wodę. Krzysia i Hela upatrzyły sobie pośrodku rzeki mieliznę, częściowo zarośniętą srebrzystymi łopianami i na tej swojej wyspie odbywały słoneczne kąpiele. W wodzie siadywały już krócej, bo zaczynała być chłodna, ale na piasku można się było rozkosznie jeszcze wygrzewać. Przyjemnością tych ostatnich tygodni były także ciągłe rozmowy o minionym lecie. Idąc w milczeniu obok siostry, która pogwizdywała już bardzo staroświeckie tango, wydobyte na sezon z zapomnienia przez orkiestrę w Urlach, Krzysia miała w oczach obraz skleconej ordynarnie z nawpół zbutwiałych desek budy bez okien oddanej z jaśniepańskiej łaski ku ucieście letników na kasyno i wir postaci ludzkich przy kilku mdłych naftowych lampkach, w improwizowanych dekoracjach z bibulek i sosnowych gałęzi. I wspomnienie tego wieczoru z powrotem do domu po księżycowej pełni, która zmieniała drogi w błyszczące rzeki i budziła ze snu w trawach korowody tajemniczych postaci, napępniało ją melancholijnym uczuciem bezpowrotności. Od pustego domu prowadziła do stacji ścieżka naprzelaj przez las. Dziewczęta szły po dywanie z sosnowych kolek, tak wy-

gładzonych, że nogi ślizgały im się po nich, jak po lodzie. Gdzieś od szczytu wysmukłej sosny płynęło miarowe kucie dziecięcia. Hela zadarła głowę, starając się go wypatrzyć. Na werandę do Witeckich przylatywały ciągle dwa małe, szare kowaliki.

— Trafimy na sam pociąg — odezwała się Krzysia. — Już go słyszać nawet.

— To chodź prędeż.

Peron, służący w sezonie za corso dla letników, już był pusty. Z pociągu zaledwie kilka osób wysiadło. Znalazł się wśród nich niespodziewanie i Witecki, który zazwyczaj przyjeżdżał o dziesiątej wieczorem. Był, ma się rozumieć, i Henio z dogiem, ale bez korepetytora. Więc przyjazd ojca nie krzyżował dziewczętom planów. Zbliżyły się ku niemu, zadziwione.

— Cóż to tak wcześniej?

Witecki oddał Heli tekę wypchaną papierami, Krzysi jakieś paczki i odezwał się, tłumiąc ziewanie.

— Jestem wściekle głodny. — Nie jadł tatuś obiadu?

— Jadłem coś tam, ale już jestem głodny. Na tem zakończyło się wszystko, co mieli sobie do powiedzenia. Witecki bardzo kochał żonę i dzieci, ale już od szeregu lat wystarczyło mu to najzupełniej, że na nie patrzył. Nie czuł

żadnej potrzeby wymiany myśli. To też jego rozmowy z rodziną ograniczały się do stwierdzania banalnych życiowych faktów. Wierzył święcie w niepospolite zdolności i inteligencję Krzysi i był bardzo z tego dumny, tylko nigdy nie zaciekawiały go formy, w jakich się jej inteligencja wyrażała. Jeżeli Helę uważał za mniej inteligentną i zdolną, to prawdopodobnie dlatego, że taki pogląd ułożył się przed laty między nim, a żoną i do głowy mu nie przychodziło, żeby go poddawać rewizji. Witecki dużo zarabiał, ale był zadłużony po uszy i wiecznie miał mózg zajęty finansowymi kombinacjami. I doszedł do tego, że tylko to go obchodziło. Ponieważ zaś z żoną i z córkami zasadniczo nie chciał mówić o sprawach pieniężnych, więc ostatecznie nie miał o czym mówić. Na lotnisko dlatego przyjeżdżał, że, jak mówił, bał się pięciu bab zostawiać na noc w pustym domu. Tem określeniem "pusty" i "baby" charakteryzował swój stosunek do kobiet. I chociaż ani na samem lotnisku, ani w okolicy nie słyszało się szczęśliwie o napadach, zawsze kładł na noc przy łóżku nabity rewolwer. Wieś napędzała go nieokreślonym lękiem, odczuwanym często przez ludzi, którzy mieszkają i wychowują się w mieście. Dlatego nawet w najskwarniejsze noce wszystkie okiennice musiały być w domu zamknięte. Za to, gdy się kilka razy zdarzyło,

że nie mógł przyjechać, Witeckie używały, nie zamykając już ani okiennic, ani okien.

W połowie drogi do domu córki wyprzedziły już ojca o kilkanaście kroków i szły same. Obie straciły humor. Wiedziały z doświadczenia, że ten wcześniejszy przyjazd Witeckiego był ucieczką przed jakimiś kłopotami. Do bezinteresownego współczucia dla ojca przyłączył się jeszcze i ten drugi wzgląd, że obie chciały pieniędzy na jesienne wydatki. Troska Heli skojarzyła się w jej myślach z obrazem korepetytora i odezwała się nagle półgłosem do Krzysi:

— Ale on musi być goły.

— Kto?

— Ano ten twój. Wciąż o nim mówimy i nie wiemy nawet, jak się nazywa.

— Napewno goły. Ale cóż z tego? Myślałaś, żeby pożyczył nam pieniądze?

W żarcie Krzysi odezwało się echo wiecznych domowych trosk o pieniądze. Traktowała to znacznie spokojniej, niż siostra, która w głębi duszy czuła się zawsze upokorzona kłopotami rodziców. Była bardziej od Krzysi wrażliwa i ulegała większej trwodze przed życiem. To też słowa siostry od razu odbiły się na jej twarzy przykrym grymasem.

— Ach, te pieniądze — westchnęła.

— Wyjdiesz bogato zamąż i nie będziesz o pieniądzach myślała.  
Hela zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. Wyrażało to myśl: "dajesz spokój, teraz nie czas na żarty". Sama była nastrojona poważnie i to właśnie pod wpływem refleksji o niezamężności tajemniczego korepetytora. Półslówka Krzysi dla niej stawały się już uroczystymi zwierzeniami i fantazja jej, bardzo jeszcze romantyczna, snuła odrazu obraz głębokiej miłości. Uważała, że wszystko powinna poświęcić dla szczęścia siostry i wśród rozmaitych myśli, jakie zapalały się jej i gasły w głowie, była i taka, że sama wyjdzie bez miłości zamąż, sprzeda się byle bogatemu starcowi, aby móc umożliwić Krzysi małżeństwo z korepetytorem. Ta decyzja napełniła ją na sekundę rozpaczą i przerażeniem, z którą łączyła się już gorzyc na przyszłość, że mimo wszystko, Krzysia nie potrafiłaby tego ocenić.  
Krzysia odezwała się nagle:

— Mówiłaś, że wiesz wszystko, a nie wiesz nawet, jak się nazywa.  
— Dowiem się, — odparła Hela pokornym głosem i lzy zakreśliły się jej w oczach.  
Ten wyrzut siostry w chwili, gdy postanowiła zrobić dla niej ofiarę z całego życia, tak ją zabolął z powodu swojej jaskrawej niesprawiedliwości,

że nie mogła zapanować nad płaczem. Krzysia aż przystanęła, zdumiona.

— Co tobie się stało?  
— Ja się dowiem, ja się dowiem! — z trudem szeptała Hela, mrugając pośpiesznie oczami.

— Czyś ty zwarzjowała?  
— Jaby tak chciała, żebyście byli szczęśliwi.  
— Dobrze, dobrze. My będziemy szczęśliwi, ale jak ty tak zidjociejesz, to się pies z tobą nie ożeni — roześmiała się Krzysia, którą podrażnił nagle sentymentalizm Heli. — Zostaniesz starą panną i będziesz bawiła moje dzieci.  
— Żebym się tak mizdrzyła, jak ty, tobym oddawna zamąż wyszła! — wybuchnęła Hela, urażona tonem siostry. — Ty sama wiesz najlepiej, że ja nigdy zamąż nie pójdę. Tysiąc razy o tem rozmawialiśmy! Małżeństwo jest wstętnie. Wolałabym już prostytutką zostać! Jak tylko skończę uniwersytet, zaraz się od was odczepię. Wyjadę zagranicę, postaram się o docenturę i wtedy dopiero o mnie usłyszycie! Ale wtedy już będzie zapóźno.

I gwałtownie skreśliła w las, pozostawiając Krzysię na drodze.  
Wskutek tego wszyscy troje wrócili do domu oddzielnie. Odrazu podano podwieczorek i Witecki w milczeniu zabrał się do jedze-

nia. Matka i córki rzuciły się na pisma, które przywiózł z Warszawy.

— Przeclawski ma dziś znów odczyt — odezwała się nagle Hela.

— Ważna nowina — mruknął z przekąsem Witecki.

Ale odrazu dodał zgryźliwym tonem:

— Na wszystkie strony reklamuje się, jak może. Dawniej potrafił tylko puszczać pieniądze, a teraz zachciało mu się sławy. Mnie tylko to zawsze dziwi, że znajdują się ludzie, którzy chcą słuchać tych bredni.

— A jednak ja na twojem miejscu utrzymywałabym z takim Przeclawskim stosunki — odezwała się żałośnie Witecka.

— Djabli mi po tem!

— I ja nie rozumiem, co ojcu po znajomości z takim faryzeuszem — poparła Witeckiego Hela.

— Dlaczego faryzeuszem — próbowała nieśmiało bronić Przeclawskiego Witecka, ale mąż przerwał jej odrazu.

— Chyba ja wiem najlepiej.

Witecki niecierpiał Przeclawskiego. Rozeszli się odrazu po skończeniu gimnazjum, ponieważ Przeclawski wyjechał na studia agronomiczne do Niemiec i tam przyłąnął

do paczki arystokratycznej młodzieży, pod której wpływem przewróciło mu się w głowie. Witecki

wstąpił na wydział prawny w Warszawie. Już podczas pierwszych wakacji, po roku Witecki nie mógł poznać przyjaciela. Przeclawski odwiedził go wprawdzie po przyjeździe i przywitali się bardzo serdecznie, jednakże tej serdeczności starczyło ściśle na pięć minut. Rozmowa wykazała odrazu, że obaj należą już do dwóch odrębnych światów. Przeclawski był ucharakteryzowany na złotego młodzieńca, świecił wielkim sygnetem na palcu, częstował kolegę jakimś wytwornymi papierosami z papierošnicy upstrzonej herbami i mówił tylko o restauracjach, pojedynkach i kokotach. Dla tkwiącego w społeczeństwie Witeckiego wszystko to było nietylko zupełnie obce, ale obudziło w nim obrzydzenie i pogardę. Bogaty kolega rozglądał się z pobłażliwą ironią po brudnym pokoiku, w którym stały dwa żelazne łóżka i było widoczne, że nawzajem czuła pogardę dla Witeckiego z powodu jego biedy. Po skończeniu gimnazjum projektowali, że Witecki spędzi pierwsze uniwersyteckie wakacje z Przeclawskim, jednakże podczas wizyty swej Przeclawski wcale już o tem nie wspominał. I jeśli Witecki nie zwymyślał go i nie wyrzucił za drzwi, to tylko przez wzgląd na dawne dobre stosunki i pewien sentyment, jaki w owym czasie budziła w nim jeszcze siostra Przeclawskiego. Po raz drugi spotkali

się jako dojrzały ludzie, gdy Witecki wyrabiał się jako adwokat w Warszawie. Grunt do ponownego nawiązania stosunków był już lepszy ponieważ w Przeclawskim starła się trochę, głupia młodzieńcza pyszałkowatość i snobizm, a Witecki ze swej strony już nie miał takiej bezwzględnej pogardy dla używania życia i przepychu, jak za studenckich czasów, i sam zaczynał do tego dążyć. Poza tem w stosunku jego do Przeclawskiego nie grał już żadnej roli wzgląd bardzo silny przy pierwszym spotkaniu, mianowicie, uczuciowej urazy za rozczarowanie. Jednakże i tym razem odnowiona ich znajomość nie mogła się skleić. Potem gdy Przeclawski rozpoczął działalność polityczną, różnica poglądów zwiększyła niechęć Witeckiego.

Ale chociaż teoretycznie Przeclawski oddawna przestał dla Witeckiego istnieć, jednakże do pewnego stopnia wciąż ciążył nad jego życiem. Mimowoli, bardzo często myśli Witeckiego układały się tak, że na końcu łańcucha obrazów, czy rozumowań, jako punkt porównania albo kontrastu, zjawiał się Przeclawski. Dziecinne przeżycia w domu Przeclawskich stały się prosto dla Witeckiego jakimś urazem psychicznym, który promieniował od tego czasu na jego uczucia i myśli. Wskutek tego w domu u Witeckich mówiło się wciąż o Przeclawskim

i wytwarzało to trochę paradoksalną sytuację, bo i Witecka i córki, nie znając osobiście Przeclawskiego, wiedziały mnóstwo szczegółów dotyczących jego życia i rodziny. O niektórych faktach mogli mówić takimi myślowymi skrótami, jak jacyś najbliżsi krewni Przeclawskiego, dokładnie wtajemniczeni w jego codzienność. Sąd Witeckiego o Przeclawskim bez żadnych uprzedzeń mógł wpaść tylko ujemnie, uważał go za jednostkę obłudną, społecznie szkodliwą, ale mimo to, gdzieś w najskrytszych zakamarkach duszy tało się w nim coś, iakby zarodek kultu dla Przeclawskiego. Nie mógł się całkowicie otrząsnąć z uroku jaki budziła w nim jego zamożność i arystokratyczne pokrewieństwa. Odzywały się tak w Witeckim serwilistyczne nałogi szlachetczyzny. Komizm tej sytuacji pierwsza w domu odczuła Krzysia. Nie mogła już słuchać rozmów o Przeclawskim. To też zerwała się od stołu.

— Warto to strzepić języki z powodu odczytu Przeclawskiego! Przejdźmy się lepiej. Helena, chodź!

— Idź sama. Ja zostanę.

— Już się odeła. Nie, to nie. Obejdę się bez ciebie.  
I zniknęła między drzewami. Po lesie snuł się już przedwieczorny chłód.  
Rozrzucione po pniach złote plamy słońca pięły się ku górze,

Różowawe kępy wrzosów straciły trochę połysku. Od domów, gdzieś jeszcze zamieszkałych, zalatywało mocnym zapachem dymu, który szaro-niebieskimi smugami rozwlekał się wśród drzew.

Krzysi przyszło nagle na myśl, że gdyby zerwała kilka tych wrzosów, związała trawką w siaki taki bukiet i przyniosła siostrze, to od razu by ją tem wzruszyła i udobruchała, bo choć cały dom był otoczony wrzosami, jednakże Hela uważałaby to od razu za najmiłszy podarunek i po roku czy dwóch możnaby jeszcze odnaleźć te wrzosa, sproszkowane w jakimś pudełku wśród sentymentalnych pamiątek. Ponowne uświadomienie sobie tej cechy charakteru siostry, na którą w codziennym życiu skutek przyzwyczajenia nie zwracała uwagi, wywołało w niej uczucie pobłażliwego lekceważenia. Ma się rozumieć, w stosunku do kogo innego byłaby to zdecydowana pogarda, ponieważ w sądzie charakterów ludzkich Krzysia odznaczała się bezwzględnością surowością. Sama posiadała wrodzony wstręt do wszelkiego rodzaju kompromisów, zaostrowany jeszcze wyrozumowaniem teoretycznym. Jako siedmioletnia dziewczynka miała takie przeżycie. Była zaziębiona, i matka zabroniła jej wyglądać przez otwarte okno. W głębi duszy Krzysia uważała, że matka miała najzupełniejszą słusz-

ność i postanowiła ściśle trzymać się polecenia. Jednakże pod wpływem jakiejś muzyki, która nagle rozbrzmiała na podwórzu, zapomniała o zakazach i postanowieniach i smygnęła do okna. Hałaśliwa katarynka z trąbami, skromna podwórzowa antenatka wielkoświatowych jazzbandów, stała się przyczyną domowej awantury. Fakt nieposłuszeństwa Krzysia pogorszyła jeszcze krnąbrną odpowiedzią. W poczuciu pedagogiki rodzinnej drugie przestępstwo pokryło zupełnie pierwsze. Z tej zapewne przyczyny, że złe skutki wyglądnania z bólem gardła przez okno były tylko przypuszczalne, a objaw złego charakteru istotny. Wobec tego, zapowiedziano jej, że jeśli uroczyście, natychmiast, nie przeprosi matki to nie dostanie nowej sukienki na dziecienny bal, którego oczekiwała z gorącym niepokojem. Krzysia uznawała swoje przewinienie, i miała serce pełne skruchy. Ale nie chcąc się poddać narzuconemu warunkowi, który uważała za ubliżający sobie, bo zupełnie zbyteczny, nie przeprosiła matki. W domu zrobił się z tego powodu istny dramat, nie dlatego, że Krzysia się nie ukorzyła, bo to już nawet wtedy było rzeczą zwykłą, tylko, że matka nie umiała znaleźć odpowiedniego pretekstu do dyplomatycznego wyjścia z sytuacji i sprawienia sukienki. Ojciec, siostra, bona, służące były nasyłane na Krzysię i błagały ją,

żeby choć wybąknęła jedno słowo dla pozorów. Krzysia zdawała sobie doskonale sprawę z tych wybiegów i dostawała gorączki ze zdenerwowania, żeby jakoś swoją winę okupić, ale na przeproszenie nie mogła się zdobyć. Sprawa zakończyła się w ten sposób, że ponieważ Krzysia, nałykawszy się w chore gardło zimnego powietrza, musiała z powrotem dwa dni przeleżeć w łóżku, więc matka kupiła sukienkę, żeby jej osłodzić chorowanie. Dobroć matki głęboko Krzysię wzruszyła, równocześnie jednak, nie umiając tego jeszcze nawet dokładnie w myślach sformułować, czuła, że matka jest istotą słabą. Rozczarowanie co do ojca przyszło znacznie później. Uważała, że ojciec miał za uczciwy charakter i w młodościem swoim życiu wykazał za dużo cennych wartości, aby się godzić na marne kompromisy i dla materialnych względów nietylko utrzymywać stosunki, lecz nawet często pochlebiać ludziom, którymi miał prawo pogardzać. Zdawała sobie sprawę, że była to ze strony ojca ciężka ofiara, czyniona przez niego, aby zapewnić rodzinie dobrobyt i wygodę. Był czas, że się poważnie zastanawiała nad

tem, żeby się z domu wyprowadzić, zarabiać na siebie i umniejszyć ojcu ciężarów. Zresztą grał tu rolę nie tylko altruistyczny wzgląd na ojca, ale i własny bunt przeciwko korzystaniu z pieni-

ędzy, okupowanych ustępstwami, które ona uważała za poniżające. Rozmyślała nad tem bardzo długo, w końcu jednak męczących dyskusji, jakie sama z sobą prowadziła, doszła do przekonania, że odejście jej z domu byłoby bezcelowe. Przy rozrzutności Witeckiego i nieudolnych oszczędnościach matki, które zawsze miały ten skutek, że z jednego wydatku robiły dwa, albo trzy, pozycja, którą ona sama reprezentowała w budżecie domowym, od razu by znalazła inne ujście, i to napewno niepotrzebne i głupie. Pozatem pracując na siebie, pozbawiłaby możliwości zarabiania kogoś, kto bardziej mógł tego potrzebować. Starła się więc tylko jaknajmniej na siebie wydawać, a wszystkie wyłożone na nią od dzieciństwa pieniądze uważała za dług, zaciągnięty wobec ojca. Takie ujęcie stosunku do ojca ogromnie ją uspokoiło. Rozumowała, że na starość bardziej mu się przyda zwrot długu, ponieważ Witecki bez względu na to, jak małe miałby wydatki, nigdy nie potrafił nic oszczędzić.

Zdarza się często, że silniejsze natury kobiece, rozmyślając nad swojemi życiowemi możliwościami, uważają się za pokrzywdzone, że się nie urodziły mężczyznami. Tego żalu Krzysia nie odczuwała nigdy. Przeciwnie. Była zadowolona z tego, że jest kobietą i chciała być nie jakimś odszczepieńcem kobiecym, w ro-

dzaju zwarjowanych feministek, tylko mądrą, wykształconą kobietą, niezależną w swojej pracy, ale nie wyrzekając się ani miłości, ani małżeństwa, ani rodziny. Prawo studjowała, żeby mieć wolny zawód i pole do indywidualnego wybicia się w życiu. Była bardzo zdolna, i nieraz zadziwiała ojca zakresem zdobytej wiedzy. Myśląc jednak czasami o przyszłym małżeństwie, postanawiała sobie niezłomnie nie uchylać się od ani jednego kobiecego obowiązku, tylko wypełniać je umiejętnie. Nie wyrzekała się w marzeniach ani kokieteryj, ani dbałości o staranny wygląd, ani ładu w gospodarstwie i umiejętnego administrowania domem, ani rodzenia dzieci, ani dozoru przy ich wychowaniu. Uważała to wszystko nie za ciężary życia, ale za pogłębiające je wartości. Powtarzała sobie nieraz żartem: — Mężczyzna, adwokat może wygrać najtrudniejszą sprawę, ale nie potrafi urodzić dziecka, a ja potrafię i jedno i drugie. — Posiada już poza sobą kilka młodzieńczych rozczarowań miłosnych. Kochała się po kolei w korepetytorze siostry, smagłym bruneciku, który stale ją obrażał swoją kamienną obojętnością, potem, jakgdyby dla kontrastu, w starszym już człowieku, zupełnie siwym. Ten pan, złączony jakimiś interesami z jej ojcem, i z tego powodu częsty gość w domu, kokietował ją i prowokował, narażając na najstraszniejsze

zdenerwowania, aż w końcu tem ją przepłoszył, że się chciał z nią ożenić. Do dzisiejszego dnia nie była pewna, czy żartował, czy też rzeczywiście snuły mu się po głowie takie zamiary. Wreszcie kochała się jeszcze w trzech młodych ludziach, z których każdy przedstawiał inny typ duchowy i fizyczny. Od ostatniego zakochania dzielił już ją przeszło rok. Miała wrażenie, że w ciągu tego roku bardzo dojrzała i zmądrzała. W każdym razie na te wszystkie miłości zapatrywała się już pobłażliwie, i określała je z pewnem przesadnem dążeniem do naukowego ujmowania wszystkich spraw, jako próby instynktu. Oczekiwała prawdziwego, wielkiego uczucia, i myślała o niem tak, jakby miała przed sobą do rozwiązania zagadnienie matematyczne. Wiadomemi wielkościami było pięciu mężczyzn, którzy wywarli już wpływ na jej życie. Na tej podstawie usiłowała stworzyć sobie w wyobraźni ten ostateczny, idealny typ — jej mężczyzny. Jednakże pod tym względem zawodziła ją ścisłość rozumowań. Nigdy nie potrafiła tego typu zobaczyć. Był to mglisty obraz, w którym się majaczyły tylko pewne szczegóły.

Jednym powtarzającym się było wysokie, inteligentne czoło. Wszystkie te miłosne przeżycia zresztą nie budziły do tej pory w niej zmysłów. Świat tych wrażeń przedstawiał jej się jako coś drażniąco tajemniczego.

Zarówno w myślach, jak i w rozmowach czasami nadużywała określenia temperament, rozumiejąc zresztą niedokładnie jego znaczenie erotyczne.

Brakło jej połowicznych doświadczeń wielu panien, ponieważ nie pozwalała się nigdy całować, ani obskubywać i to nie przez jakąś fałszywą wstydlivość ani zasady, tylko z powodu wrodzonej odrazy do krycia się po kątach z objawami uczucia. Z powodu szczerości i impulsywności natury, była skłonna raczej do wszelkich jawnych manifestacji, co w oczach ludzkich przy odpowiednich okolicznościach mogło uchodzić za bezwstyd. Wielokrotnie wśród najbardziej pruderyjnego otoczenia mówiła, że z mężczyzną, któregoby kochała, a nie mogła za niego wyjść zamaż, żyłaby bez wahania w wolnym związku. I w głębi duszy nie mogła zrozumieć, że dopatrywano się w takich jej powiedzeniach nieszczerzej brawury. Wszystkie dotychczasowe jej zakochania zresztą nie przychodziły odrazu. Rozwijały się wolno przeważnie na tle intelektualnych zainteresowań. Pierwszym człowiekiem, który ją pociągnął z widzenia, bez wymiany myśli, był ów tajemniczy korepetytor jakiegoś głupiego dryblasza. Krzysia nie mogła nawet zrozumieć, dlaczego jej się podobał. Wywierał wrażenie neurastenika i człowieka słabego. Ruchy miał niezdecydowane,

wyraz twarzy znudzone-przygnębiony i zawsze chodził z pochyloną głową. Słowem, był zaprzeczeniem tych wszystkich cech, które Krzysia uznawała za niezbędne, aby mężczyzna mógł jej się podobać. I gdyby ktoś w rozmowie opisał taki wygląd człowieka, napewno nie wzbudziłby w niej najmniejszego zaciekawienia. Pomyślałaby: — Warto czas tracić na gadanie o niedołęgach. — Tymczasem obraz tego niedołęgi, ucieleśniony w postaci korepetytora, przejmował ją ciągłym niepokojem. Od czasu, jak go zaczęła widywać, wszystkie myśli jej się rozpraszały i musiała w końcu wyraźnie sobie uświadomić, że tego jednego tylko pragnęła, aby go poznać. Podobało jej się w nim wszystko. Z powodu upalnych dni korepetytor stale chodził bez marynarki. Zachwyił ją kolor jego koszuli, która wydała jej się wyjątkowo wytworna. Spostrzegła, mijając go z bliska, że był odziany w lichą koszulinę, wypelzła od słońca, ale to nadało tylko inny odcień jej zachwytowi. Pogłębiło go wzruszenie. Źródło tego wzruszenia tkwiło podświadomie w poczuciu siły, jaką Krzysia wyczuwała w sobie. W stosunku do człowieka, który jej się aż tak podobał, nie mogła się zdobyć na lekceważenie, przechodzące niekiedy nawet w pogardę, jakie budziły w niej wogóle objawy słabości i przetransponowało się to na najczystsze współczucie.

W tej chwili zresztą zajmowało ją inne zagadnienie, mianowicie — żeby nie czekając przypadkowych okoliczności i pośrednictw, zawrzeć znajomość z tym młodym człowiekiem, a uniknąć nieporozumienia, które mogłoby odrazu nadać fałszywy ton ich stosunkom. Dla niej samej sprawa była prosta i jasna. Jeżeli mężczyzna ma prawo w chwilę po poznaniu powiedzieć kobiecie, o której uczuciach w stosunku do siebie nic nie wie, że ją kocha, to dlaczegożby i kobieta nie miała korzystać z tego samego przywileju.

Zamyślona szła wzdłuż rzeki, nad którą po spędzeniu krów z pastwisk zapanowała zupełna pustka. W oddali wyraźnie odcinało się od tła długie, czarne czółno z nieruchomą sylwetką jakiegoś chłopaczyny w zakasanych portkach, łowiącego ryby na wędkę. W smętnej, jesiennej ciszy słychać było tylko rozpluskowanie się wody o brzegi i mielizny. Krzysia przypominała sobie napomnienia ojca żeby się nie zapóźniać do nocy na spacerze. Szybko zawróciła do domu. Kiedy weszła w las i już tylko instynktem kierowała się w stronę willi, uczuła nagle, że ją ktoś z

tyłu chwytła za ramię. Odwróciła się śmiało i w zupełnej ciemności usłyszała głos siostry. Zawsze romantyczna Hela puściła się na poszukiwanie jej, niespokojna, czy miłość nie pchnęła Krzysi

do jakiego szaleństwa. Była tak zadyszana, że mówiła urywanymi sylabami. Potykając się o korzenie, których nabrała się wogóle niesłychana ilość, tak, jakby wypełzały w nocy z pod ziemi, żeby uniemożliwić ludziom chodzenie, dziewczyny biegły w kierunku niebieskiego światła, lampy u sąsiadów, służącej za drogowskaz wszystkim zbłąkanym letnikom. Wróciły do domu z podrapanymi przez krzaki łydkami i tak rozpromienione, jakgdyby je spotkała niezwykle uciecha. Hela odrazu znów zmanifestowała swoje romantyczne instynkty, wypijając duszkiem szklankę rozbełtanego kwaśnego mleka, jako toast w ręce Krzysi za pomyślność tego, o czym one tylko wiedziały. Spotkało się to odrazu z prozaicznym zgrzytem w uwadze pani Witeckiej:

— Jak kto pół godziny temu najadł się tyle gruszek, to nie powinien pić mleka, bo dostanie rozwolnienia.

Witecki już spał w swoim pokoju. Była to pomyślna okoliczność i Krzysia odrazu oświadczyła matce, że pójdzie jeszcze na stację na ostatni pociąg. Projekt ten zachwycił Hele, która uważała, że i jej się spacer przyda, bo wcale w ciągu dnia nie chodziła, i że z tego powodu z pewnością przybyło jej ze dwa kilo.

V.

Późnym wieczorem Stefan Calewicz wrócił niespodziewanie do Warszawy. Kiedy się ukazał we drzwiach z walizką w ręce, pani Calewiczowa uśmiechnęła się trochę sztucznie. Doskonale wiedziała, że syna spotkała jakaś przykrość i uśmiechem tym chciała odrazu okazać, że bagatelizuje tę całą, nieznaną jej jeszcze sprawę. Stefan tak dobrze znał matkę, że natychmiast odgadł jej intencję. Ponieważ porzucenie korepetycji, która mu miała zapewnić spokojną egzystencję na kilka miesięcy, stanowiło przede wszystkim dla niego bardzo ważny zawód, więc nastroił się odrazu uczuciowo tak, jakgdyby matka wyolbrzymiała fakt, nie mający istotnego znaczenia. Szybko jednak nad tym przelotnym odruchem zapanował i przywitał się z matką bardzo serdecznie. Ośmielona tem, pani Calewiczowa zadała mu wreszcie pytanie:

— Cóż to się stało?

— Nie mogłem wytrzymać.

— Spodziewałam się tego. Tacy ordynarni dorobkiewicz, to najgorsza sfera.

Niepotrzebnie się tylko łudziłeś.

Stefan machnął lekceważąco ręką.

— Nie było powodu do łudzenia się czemkolwiek. Taka sama korepetycja, jak każda inna. Dwa tygodnie przesiedziałem na wsi, miałem cudowną pogodę, i to jest czysty zysk.

— Ale czy co zaszło tam między wami?

— Nic nie zaszło. Rozstaliśmy się w jaknajlepszej zgodzie.

— Może się zabardzo pośpieszyłeś?

— Nad tem nie warto się już teraz zastanawiać. Poprostu nie mogłem wytrzymać nerwowo. Nie mam powołania do kształcenia idjotów. A ten Henio, to skończony kretyn.

Mówiąc, Stefan chodził gorączkowo po popokoju. Matka przyglądała mu się niespokojnie. Podejrzewała, że nie wszystko odbyło się tak dobrze, jak opowiadał. Stefan miał twarz tak wrażliwą, że nie umiał ukryć żadnego uczucia. Najwidoczniej był bardzo zdenerwowany.

— Opaliłeś się — odezwała się po chwili. Stefan wzruszył ramionami.

— Niewiele mi to pomoże — mruknął zgryźliwie.  
— Już zaczynasz — westchnęła matka.

— W to, że ja umrę na gruźlicę, mama wtedy uwierzy, jak umrę. Więc niema o czym gadać.  
— Ależ moje dziecko, skąd ci znowu ta gruźlica weszła do głowy. Kilka miesięcy było spokoju...  
— Bo nie mówiłem. Trudno, żebym codzień o tem mówił.  
— Wyglądasz doskonale.  
— Mama zawsze uważa, że świetnie wyglądam.  
— To, że jesteś szczupły, to twoja własna wina. Nie chciałeś się nigdy gimnastykować i mięśnie ci pozanikały.  
— Mamó! Dajmy spokój. Wyglądam jak trup, a że się trochę opaliłem, to jeszcze niczego nie dowodzi. W Zakopanem widuje się werandujących suchotników, którzy są czarni jak murzyni i umierają.  
— Ta medycyna to jest twoje nieszczęście — wybuchnęła pani Calewiczowa prawie ze łzami w oczach. — Nigdy sobie nie daruję, że cię namawiałam do wstąpienia na medycynę.  
— O, nie udałooby się mamie namówić mnie na co innego, bo ja mam zamiłowanie do medycyny we krwi.  
— Po Mm?  
— Po nikim. Po sobie samym. Na to nie potrzeba dziedziczności.

— Więc dlaczego wierzysz, że po ojcu musiałeś odziedziczyć gruźlicę.  
— Moja mamó. Co innego dziedziczność duchowa, a co innego fizyczna. Ojciec umarł na gruźlicę, siostry ojca na gruźlicę, dziadek na gruźlicę, cała rodzina zgniła i zarażona od kilku pokoleń, a ja miałbym stanowić wyjątek.  
— Ale mogłeś odziedziczyć zdrowie po mnie. Moją rodzinę pałką trzeba dobijać. Wszyscy żyjemy do stu lat. Według teorii Mendla, którą mi tyle razy wykładałeś, możesz być jaknajzdrowszy.  
— Co tam mama wie o Mendlu. Wszystko się mamie pokręciło w głowie. Pójdę jutro do mojego profesora i zażądam, żeby mnie już raz przestali obelgiwać.  
— Sto razy ci wszyscy lekarze powiedzieli, że nie masz gruźlicy i nic to nie pomogło. Powinieneś się leczyć u psychiatrów, ale nie u internistów.  
Stefan zawrócił gwałtownie ku drzwiom.  
— Dobranoc mamie.  
— Stefek!  
Pani Calewiczowa przytrzymała go za rękę.  
— Wie mama, że nigdy tego nie rozumiem, jak można niby to kogoś kochać i zarazem tak lekceważyć jego życie. Ja się chyba zawsze wstrzymuję od wymawiania mamie

oschłości, ale czy mama nie pojmuje, że prosta delikatność nakazywałaby chociaż nic nie mówić, ale nie bagatelizować tego, że człowiek skazany jest na powolne konanie. Taka psychoterapia, to nawet na psa źleby oddziaływała. Trzeba było, jak się wyszło zamąż za suchotnika, nie rodzić dziecka. W takich wypadkach medycyna wskazuje poronienie. A to, co mama zrobiła, jest zbrodnią. I wobec mnie, i wobec społeczeństwa. Przecież bakterja gruźlicy jest bardziej zaraźliwa od bakterji cholery. Należałoby mnie izolować, bo inaczej pozarażam tysiące istnień ludzkich — krzychał już prawie, drżącym od wzburzenia głosem.  
— Et, głupi jesteś, jak zwykle — zupełnie spokojnie zauważyła pani Calewiczowa.  
— Gadaj tak chorym, gdy zostaniesz lekarzem, to wszyscy od ciebie puciekają.  
— Dobranoc.

I Stefan przeszedł do swego pokoju. Przez otwarte okno buchnęło na niego smrodem warszawskiego podwórza, rzucił mu się w oczy do najdrobniejszych szczegółów

znany obraz oficyn. Zatrzasnął okno, zasłonił je strzepem zielonej podartej firanki i wyciągnąwszy z walizki termometr, zaczął sobie mierzyć temperaturę. Okazało się, że miał zupełnie normalną.  
— Nie dziś, to jutro — mruknął. — Nie wywinę się.

Ojciec Stefana umarł na dwa miesiące przed jego urodzeniem. Jedyną pamiątką, jaka Stefanowi po nim została, była właśnie ta tradycja gruźlicy. Pozatem — nic. Pani Calewiczowa zaraz po śmierci męża wyjechała na wieś do brata, spieniężywszy wszystko do ostatniego drobiazgu. Otoczenie nie mogło zrozumieć, dlaczego robiła to tak zaciekłe, że rzeczy, które się do sprzedania nie nadawały, rozdawała, albo popaliła. Ten szła unicestwienia wszystkiego, co ją mogło łączyć z przeszłością, tłómaczono sobie w rodzinie jako objaw chorobliwej rozpacz. Wsiadła do wagonu, tak jak była w jednej sukni. Stefan nie posiadał nawet fotografii ojca. Wyobrażał go sobie tylko na zasadzie pytań, które zadawał matce, ponieważ pani Calewiczowa sama o mężu nie mówiła nigdy i nawet na pytania Stefana odpowiadała niechętnie. Brat posiadał dość znaczny majątek ziemski na Podolu i część tego majątku stanowiła posag Calewiczowej. Wskutek tego owdowiawszy, mogła żyć tem wygodniej, że jej odpadły koszty utrzymania męża i wozenia go po sanatorjach. Sytuację tę zmieniła radykalnie wojna i rewolucja w Rosji. Brata Calewiczowej zamordowano, a majątek pozostał ostatecznie po stronie bolszewickiej. Jej samej udało się uciec z synem do Warszawy, dostała posadę, ogarnęła nędzę i nie-

słuchanie pogodnie znosiła zmianę warunków bytu, ale równocześnie wywierała takie wrażenie, że gdyby cudem jakimś doszła nawet do dużego bogactwa, to jednak nie pozbawiłoby jej cech istoty, która niczego od życia już nie oczekuje i kryje w sobie jakąś niewytłomaczoną rezygnację. W najrozmaitszych wypadkach niepowodzeń Stefan stale od niej słyszał "to jeszcze nie jest zmartwienie" albo "daleko jeszcze do nieszczęścia", tak że nieraz zapytywał ją pół żartem, a pół serjo, coby nareszcie zaczęła uważać za prawdziwe zmartwienie, czy nieszczęście. W Warszawie miała zamożnych krewnych męża, Przecławskich, ale nigdy się do nich nie zgłaszała.

Stefan nietylko by się pogodził z obojętnością matki wobec trosk, ale uważał ją nawet za bardzo dodatnią cechą charakteru, gdyby w tę obojętność nie włączała się i jego rzekoma choroba. Manja gruźlicy ogarnęła go już w szkołach. Pod jej wpływem do wrodzonego zamiłowania do medycyny, jakie miał rzeczywiście, doszło jeszcze teoretyczne przekonanie o konieczności poświęcenia życia studjom nad gruźlicą. Zgóry przekreślał całe swoje osobiste szczęście i przygotowywał się do pewnego rodzaju apostołstwa. Był bardzo zdolny i to stanowiło jedyną jego pociechę. Wierzył, że potrafi dużo zrobić dla wiedzy, tembardziej, że

nie mając według własnego przekonania nic do stracenia, postanawiał na sobie samym przeprowadzać wszystkie możliwe eksperymenty. Zapał do tej przyszłej pracy tak go nieraz podniecał, że równoważył w nim lęk przed chorobą? Zaczynał się prawie uważać za wybrańca losu, właśnie dzięki tym warunkom, które mu pozwalały całkowicie poświęcić się ludzkości. Oplacał jednak te wzloty wyobraźni najstraszniejszymi reakcjami.

Taka reakcja przyszła na niego w Urlach. Złożyły się na to dwa powody. Jego uczeń — Henio może nietylko go zdenerwował tępotą umysłową, co fizycznym zdrowiem. Był to doskonały okaz ludzkiego zwierzęcia i Stefan wciąż go ze sobą porównywał. W stronę tych porównań zaś skierowały się jego myśli pod wpływem pewnego drobnego faktu. Chodząc razem, spotykali często dwie dziewczyny, z których jedna bardzo mu się podobała. Tymczasem zauważył z zupełną pewnością, że rzucała zawsze zachwycone spojrzenia w stronę czerwonego swetra Henia. I Henio

przechwalał się, że gdyby tylko zechciał, toby z nim w tej chwili zaczęła romansować. Dziewczyna wyglądała bardzo zdrowo i dorodnie, Stefan musiał przyznać, że tworzyłyby z Heniem doskonałą, dobraną parę. Gdyby z ich romansu urodziło się dziecko, byłoby piękne i tryskające zdrowiem

i z niego mógłby dalej wziąć początek szereg dorodnych i zdrowych pokoleń. Stefana obraz ten zachwycał i równocześnie napępiał obrzydzeniem. Drugi powód był wyrozumowany. Gdy spostrzegł, że energia jego rozprasza się na zazdrość i odrazę do Henia, uznał to za niepotrzebne powikłania, poniekąd ubliżające jego godności wobec tych celów, jakie stawiał sobie w życiu. I dlatego postanowił się usunąć.

— Ładny będzie ze mnie lekarz — wymyślał sobie w duchu — gdy najpospolitszy pęd do funkcji rozrodczej potrafi mnie tak wyprowadzić, z równowagi.

Pani Calewiczowa uchyliła nagle drzwi od pokoju.

— Słuchaj Stefku. Pogódźmy się.

— Czyż ja się gniewam — odparł nawpół udobruchany.

— Chciałam się ciebie o coś zapytać. Tylko się nie unoś odrazu.

— Słucham.

— Nie pamiętam, żebym cię kiedykolwiek widziała tak zdenerwowanego, jak dzisiaj.

Zakochałeś się w kimś w Urłach? Przyznaj się.

Stefan uśmiechnął się ironicznie.

— Żebym się zakochał, tobym się nie przyznał. Ale mogę się przyznać, że się nie zakochałem. Zresztą mama zna chyba mój pogląd na miłość.

— No, pogląd poglądem, a dla kogóż istnieje miłość, jak nie dla takich, jak ty.

— Właśnie dla takich, jak ja, nie istnieje. Ja się muszę wszelkimi siłami bronić przed miłością. Jeżeli nie mam prawa szukać wzajemności, to cóżby mi zakochanie dało oprócz bólu i goryczy. Mówię to zresztą jedynie w mamy stylizacji, bo ból i gorycz to już są trochę przestarzałe atrybuty miłości.

Niech mi zresztą mama wynajdzie pannę z dużym posagiem, bez żadnych erotycznych wymagań, która mi odda wszystkie swoje pieniądze, to się zacznę namyślać — śmiał się, patrząc drwiąco na matkę.

— Żebym tylko taką głupią pannę znalazła, to odrazu bym cię ożeniła.

— Taką głupią, jak mama była, — przemknęło Stefanowi przez myśl i widocznie odbiło się to w jakimś grymasie jego twarzy, bo pani Calewiczowa zrozumiała.

— Nie życzę ci takiej żony, jak ja — odezwała się cicho.

— Dlaczego? Mnie się zdaje, że mama ma właśnie wszystkie warunki na doskonałą żonę.

— Co ty tam o tem wiesz, moje dziecko.

— Więc mama była zła dla ojca?

— Zła, nie — odparła Calewiczowa tak, jakgdyby odpowiadała nie synowi, tylko jakimś

swoim myślom. — On powtarzał nawet, że byłam bardzo dobra.

— A jaby mamę zupełnie rozgrzeszył, gdyby mama była zła.

— Naprawdę?

— No, przecież chyba mama nie przypuszcza, że mam punkt widzenia jakiejś głupiej kumoszki, albo księdza. Taka młoda, ładna, zdrowa kobieta, jak mama wtedy była, nie miała chyba obowiązków wobec rozkładającego się trupa. Przecież ojciec mamę oszukał.

— Ojciec nie wiedział, że jest chory.

— Powinien był wiedzieć — wybuchnął Stefan. — Skoro dziadek był gruźlik, to ojciec nie miał prawa się żenić. Ja to sto razy mamie powtarzam. A mama była wolna od wszelkich zobowiązań.

— Tylko teoretycznie. Bo praktycznie byłam przykuta do twojego ojca. I stokroć bardziej przykuta przez to, że to był człowiek skazany na śmierć, którego należało oszczędzać, liczyć się z nim, nie - narażać na żadne wstrząsy i z tak wybujałym przez chorobę egoizmem, że nie uznawał niczyich praw, ani pragnień, bo wszystko wydawało mu się głupstwem wobec jego zdrowia.  
— Był to człowiek bez charakteru. Choroba chorobą, a powinien się był zachowywać jak najnormalniejsza jednostka i nie zatruwać

przynajmniej moralnie swego otoczenia, skoro i tak je zatruwał bakterjami. Nie, moja mamo. Nie mogę powiedzieć, żeby ojciec był dla mnie dodatnim typem.

— A ty ciągle gadasz o tem, że się rozchorujesz i zatruwasz mi życie?

— Mama sama sobie zatruwa. Ja stwierdzam obiektywnie pewne fakty.

— Dobrze wyobrażasz sobie obiektywizm. Jedyny syn, który matce ciągle zapowiada, że niedługo umrze. Właśnie żebyś miał charakter tobyś mnie nie dręczył.

— Daję mamie słowo honoru, najuroczystrze słowo honoru, że już nigdy ani słowem nie wspomnę o mojej gruźlicy. No i może być mama przekonana, że dotrzymam. Odziedziczyłem silną wolę po mamie.

Ani z usposobienia, ani z charakteru Calewicz wcale nie był do matki podobny. Pani Calewiczowa widząc rozdrażnienie syna, wyszła z pokoju. Wtedy on zgasił światło i w ubraniu rzucił się na łóżko. Miał w oczach jeszcze pełno wsi. Chciał dla uspokojenia nerwów zacząć myśleć systematycznie o pewnych kwestiach naukowych ale raz poraz rozrywał mu uwagę jakiś szczegół krajobrazu, to gąszcz paproci w wilgotnym lesie, to kawałek Liwca, białe mgły, które zasłaniały pola, daleki pociąg z pióropuszem dymu. Instykt go ciągnął, żeby

się poddać tym marzeniom, w których leniwej rozlewności było coś kojącego i usypiającego, ale ponieważ zasadniczo uważał to za złe nastawienie umysłu, więc siłą woli starał się zmusić do suchego, logicznego rozumowania. Przez drzwi słyszał, jak matka krzątała się po sąsiednim pokoju i trochę przykro mu się zrobiło, że w tak bolesnym tonie prowadził z nią rozmowę. W tym odruchu do szczerego uczucia przyplątała się od razu także i teoria. Z natury swej był kapryśny, gwałtowny i bardzo łatwo się uprzedzający, postawił więc sobie za zadanie, aby być dobrym i możliwie wyrozumiałym. Wskutek tego wciąż kontrolował swoje uczucia i zwalczał te, które uważał za ujemne. Ta idea dobroci zrodziła się w nim z myśli poświęcenia życia na ofiarę. Mimo więc, że uważał matkę za istotę nieczułą, jednakże kiedy uświadomił sobie, że wyrządził jej przykrość, która, chociażby jak najślabej przez nią odczuta, wytwarzała jakiś fragment goryczy w duszy, postanowił ją przeprosić. Wszedł do jadalni, gdzie matka sypiała i zobaczył ją przy stole, pochyloną nad papierami. Był to codzienny obraz. Calewiczowa przynosiła z biura robotę do domu i ślęczała nad nią nieraz do drugiej i trzeciej w nocy.

— Myślałam, że już śpisz — zwróciła się do syna.

— Muszę mamę przeprosić — odparł całując ją po rękach.

— No, widzisz, — wyszeptala wzruszona.

— Nie gniewa się mama?

— Moje ty drogie kochanie. Taki jesteś mądry i dobry, a nie zastanawiasz się nad tem, jak łatwo można się omylić, sądząc ludzkie uczucia i postęпки. Stefan wrócił zaraz do swego pokoju, nie chcąc przeszkadzać matce, ale uwaga jej, doskonale harmonizująca się z jego tonem uczuciowym, wywarła na nim głębokie wrażenie.

— Ja deklamuję o poświęceniu, a matka się już dawno poświęca, — myślał, rozbierając się do snu. — Bo gdyby nie ja i te obowiązki, jakie sobie z mego powodu narzuciła, to przecież nie potrzebowałyby się tak zapracowywać i

przedewszystkiem siedzieć w Warszawie, która jej nie daje nawet dobrego powietrza, jedynego zbytku, na jaki biedak może sobie czasem pozwolić. A gdyby inaczej żyła, otwierałyby się przed nią inne możliwości. Jest ładna, miła, lubi ludzi, kto wie, czy nie wyszłaby była drugi raz zamaż, zamiast wiecznie, o ile nie siedzi w biurze, zmywać po mnie talerze i cerować moje dziurawe skarpetki. Zgasił światło, ale nie mógł zasnąć. Skrucha, jaką wobec matki okazał, miała ten dobry, doraźny skutek, że skierowała jego myśli w inną

stronę. Umocniła się w nim wiara, że potrafi przezwyciężyć swoją naturę i być szczerze dobrym i wyrozumiałym. Ten pewien wzlot duchowy porwał jego wyobraźnię ku najulubieńszemu marzeniom o ofierze z życia dla szczęścia ludzkości. Marzenia jego snuły się zawsze dookoła jednego obrazu, w którym widział siebie już nawpół trupa dokonyującego w ostatnim Studjum choroby genialnego odkrycia. I upajał się wizją świata, uwolnionego od jednej z najstraszliwszych klęsk. Ta myśl sprawiała mu taką rozkosz, podniecenie tak go odrywało od życia, że nieomal zaczynał błogosławić swoje smutne dziedzictwo gruźlicze. Od tego ostatecznego obrazu, który zawsze występował jako apoteoza, biegł wstecz, ku drodze walki, jaką miał przebyć. I tu już myśli przybierały realniejszą formę. Po skończeniu uniwersytetu wybierał się na Zachód do wielkich środowisk nauki i widział się to wśród ostatniej najniezwyklejszej nędzy, to w olbrzymich laboratorjach u boku jakiegoś półboga wiedzy, jako najpokorniejszy i najzarliwszy uczeń. I uśmiechając się do tych marzeń — zasnął.

## VI.

Po usłyszeniu fatalnej wiadomości panna Czesława wybiegła ze sklepu jak nieprzytomna. Myślała tylko o tem jak ratować Przeclawskiego i aż huczało jej w głowie od najrozmaitszych projektów, które się tak kłębiły i krzyżowały, że ostatecznie tworzył się z tego jedynie gorączkowy chaos. Nerwy jej domagały się jakiegoś natychmiastowego ujęcia. Miała ochotę zaczepiać na ulicy nieznanym przechodniów i opowiadać im o łajdackiej intrydze, której ofiarą padł Przeclawski. Powstrzymywała ją od tego już nawet nie resztką rozsądku, tylko pędem, który gnał ją naprzód. Okrążywszy kilka ulic, instynktownie znalazła się przed bramą kamienicy, w której mieszkał Przeclawski. Pędem wbiegła na górę i zaczęła gwałtownie dzwonić do drzwi. Nie odniosło to najmniejszego skutku. W podnieceniu tak zatraciła świadomość wrażeń, że kiedy zrozpaczona zaczęła

schodzić ze schodów, nie umiała zdać sobie sprawy, czy słyszała dzwonek, czy nie. I jeszcze jednym błyskiem nadziei stała się dla niej myśl, że może dzwonek był popsuty, albo że go przecięli "tamci". Kim byli owi tamci, nie wyobrażała sobie dokładnie, ale tkwił jej w pamięci tajemniczy wyraz twarzy Sobieszczaka, który ostatecznie zgodził się z poglądem, że Przeclawski mógł paść ofiarą nikczemnej intrygi i mówił o jakichś mularzach. Z dziecińczych wspomnień wyłonił się w mózgu panny Czesławy obraz trzypiętrowego rusztowania zapaćkanego wapnem i strasznej awantury, jaka wzbурzyła całe podwórze. Jak żywą, widziała przed sobą czerwoną twarz stróżki i brzmiał jej w uszach nawet akcent głosu jakby trochę zakatarzony. — To granda przyszła do robotników. Takie wolne mularze bez zajęcia, to zawsze najgorsze łobuzy. — I nagle wydało jej się jasnym wszystko. Sezon już się skończył, więc napewno rodzina Przeclawskiego wynajęła jakichś bezrobotnych mularzy, żeby go porwali. Wróciła na górę i zaczęła pięściami bić we drzwi. Zrobił się tak piekielny hałas, że z sąsiednich mieszkań powybiegali lokatorzy a ponieważ cały dom znajdował się pod świeżym wrażeniem nowiny o obłądnie Przeclawskiego, więc ktoś odrazu wyraził przypuszczenie, że i panna Czesława była warjatką. To ją spłoszyło.

Na ulicy znów zaczęła szukać ujścia dla nadmiaru swej energii. Przez chwilę dręczyła ją myśl, żeby zaalarmować lekarzy i adwokatów a przede wszystkim prokuratora, który już będzie wiedział, kogo oskarżyć. Obawiała się jednak trafić na przekupionego łajdaka. Miała wrażenie, że otacza ją sieć potężnych, a ukrytych wrogów i nie korciło już jej, jak przed chwilą, żeby opowiadać o nieszczęściach Przeclawskiego przechodniom, bo na wszystkich patrzyła z nienawiścią, jako na przypuszczalnych nieprzyjaciół. Ostatecznie, musiała się więc zdecydować, żeby odłożyć walkę do następnego dnia. I wróciła do domu. Kiedy zbliżała się do bramy, ogarnęła ją nagle prawie pewność, że zostanie list od Przeclawskiego, który przecież przede wszystkim musiał po uwięzieniu myśleć o niej i starać się z nią porozumieć. Zamiast więc iść na schody, skrzyła do pomieszczenia dozorczy.

— Jest list do mnie? — odezwała się tonem, w którym kryła się podświadomie chęć narzucenia potakującej odpowiedzi.

Dozorczyńni spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Jaki list?

— Nie przynieśli?

— Nikt nic nie przynosił.

— A może pani gdzie położyła? Niech pani zobaczy.

Widocznie w głosie i wyglądzie panny Czesławy było coś niezwykłego, bo dozorczyńni nie tylko się nie obraziła za tę uwagę, ale odezwała się z pewnym współczuciem.

— Co się pani stało?

— Dlaczego?

— Jakto dlaczego? Niechże pani spojrzysz na siebie. Gonił panią kto, czy co? Psie zimno, a z pani pot się leje.

Pannę Czesławę opuściły nagle siły. Zachwiała się, jakgdyby miała upaść.

Dozorczyńni podsunęła jej krzesło i podała szklankę wody.

— Zmartwienie panią spotkało jakie?

Panna Czesława tylko dlatego nie zwierzyła się ze swojego nieszczęścia, że jej rzeczywicie sił brakło. Drobnymi łykami wypila pół szklanki wody i próbując się uśmiechnąć, zwróciła się do dozorczyńni.

— Trochę odpocznę.

— A niech pani odpoczywa.

W niewielkiej dusznej klitce oprócz dozorczyńni siedziała jakaś wymizerowana, błada dziewczyna i lakierowała sobie paznokcie, które starała się doprowadzić do połysku rondli na półce. Była to córka dozorczy. Panna Czesława patrzyła na nią przez chwilę bezmyślnie i nagle odezwała się równie bezmyślnie.

— O, nie poznałam pani, panno Felicjo.

— Co mnie pani ma poznać, jak ja codzień gorzej wyglądam. Już mnie ludzie na ulicy nie poznają.

— A cóż to pani chora?

Panna Fela przerwała lakierowanie paznokci i odparła dziwnym tonem, w którym żalność mieszała się jakby z dumą.

— Mam solitera.

— A, boi się go struć — wtrąciła matka.

— O, ja już kilka osób znałam, co miały solitera — zaczęła ją pocieszać panna Czesława — i bardzo prędko się wyleczyły.

— Kiedy mój narzeczony powiedział, że jakbym od tej jakiejś trucizny umarła, to on by sobie zaraz musiał życie odebrać, boby mojej śmierci nie przeżył.

— A kiedy pani wychodzi zamąż? — dopytywała się już z zaciekawieniem panna

Czesława.

— Właśnie nie wiem, bo on mówi, że jak będę miała solitra, to się nigdy ze mną nie ożeni.

Wobec takiej sytuacji bez wyjścia panna Czesława nie umiała się już zdobyć na żadne słowo pociechy, ani otuchy.

Nazajutrz już o szóstej rano była na nogach, ubrana i gotowa do wyjścia.

Przedewszystkiem postanowiła prosić o kilkodniowy urlop, aby móc cały swój czas poświęcić na

ratowanie Przeclawskiego. Sobieszczał jednak wzruszył tylko ramionami.

— Co to, to nie. Nic pani zresztą nie zrobi, bo ja się dowiadywałem. On naprawdę zwarjował.

— Zobaczmy — odparła panna Czesława z zimną zawziętością w głosie.

Na szczęście dla niej, jakieś interesy znów zmusiły Sobieszczaka do wyjścia na miasto. Od tej chwili sklep stracił zupełnie charakter przedsiębiorstwa

handlowego. Panna Czesława nie wypuszczała z rąk słuchawki telefonicznej i w wyraźny sposób okazywała klienteli swoje niezadowolenie. Poraz pierwszy w życiu

Józio zsolidaryzował się z nią najzupełniej. Panna Czesława dzwoniła pokolei do wszystkich ministrów, z którymi jednak nie udało jej się rozmówić. Zaczęła się

więc zwracać do redakcji pism, doktorów, adwokatów i najrozmaitszych osób na chybił trafił, według tego, jak brzmienie nazwiska, albo nawet numery telefonów

wzbudzały w niej zaufanie. Ogólny wynik jednak tych rozmów był raczej ujemny. Olbrzymia większość okazywała bardzo mało współczucia dla wstrząsających alarmów

Czesławy i to ją napełniło ponowną nienawiścią do społeczeństwa, ale nie osłabiło w niej ani ochoty do walki, ani wiary w zwycięstwo. Przeciwnie.

Poczucie że tylko ona jedna naprawdę chciała ratować Przeclawskiego, dodawało jej zawziętości.

Kilkakrotnie odpowiadano jej głupstwami, a nawet impertynencjami. Było to dla niej dowodem, że trafiała na wrogów Przeclawskiego, może wtajemniczonych nawet w spisek. Ale najbardziej oburzali ją fałszywi przyjaciele w rodzaju Sobieszczaka.

Pewną ulgę we wściekłości, jaką ją nurtowała, tworzyły przelotne chwile marzeń.

Był to jeden i ten sam obraz w różnych odmianach. Uwolnienie Przeclawskiego, tryumf i dopiero wtedy porachunki z fałszywymi przyjaciółmi.

Sobieszczał przyniósł z miasta dokładne szczegóły o obłędzie Przeclawskiego.

Przeclawski zwarjował nagle na ulicy. Pobiegił na plac Trzech Krzyży i wszedłszy na skwer przed kościołem, zaczął wygrażać przechodniom rewolwerem, bo mu się

wydawało, że wszyscy szli niszczyć krzyże. Wygłaszał przytem rodzaj kazania, przeplatanego przekleństwami na masonów i wkońcu dwa razy wystrzelił, ale kule

na szczęście nie trafiły nikogo. Kilku policjantów musiało go obezwładnić. Panna Czesława wysłuchała tego opowiadania z pogardliwym uśmiechem.

Obecność Sobieszczaka przeszkadzała jej telefonować, więc się zabrała do korespondencji. Ułożyła wzór listu, który postanowiła rozesłać możliwie

największej ilości znanych ludzi w mieście. W książce telefonicznej znalazła

również adres Przeclawskiej. I po namyśle postanowiła wybrać się i do niej.

Początkowo wprawdzie zamknięcie Przeclawskiego w zakładzie dla umysłowo chorych przypisywała intrygom i zawiści żony, ale potem tak jej się wbiła w głowę myśl o

tajemniczych masonach, że już na nich tylko zwała całą winę. I zaczęła

wierzyć, że wobec takich podłości żona zapomni o wszystkich osobistych urazach i z całym poświęceniem dopomoże jej do ratowania Przeclawskiego. Czyjaś życzliwa

pomoc była jej niezbędną, już choćby z tego powodu, że, jak obliczyła, sam koszt marek na listy, które należało rozesłać, równał się prawie jej rocznej pensji.

Przeclawska napewno mogła wyłożyć potrzebną sumę. Wróciwszy do domu, panna

Czesława zaczęła się bardzo starannie ubierać. Wizyta u Przeclawskiej przejmowała ją jakimś uroczystym nastrojem — przygotowywała się do niej, jak do spowiedzi. Włożyła nawet świeżą bieliznę. Uroczysty nastrój potęgowało w niej jeszcze poczucie własnej szlachetności w stosunku do Przeclawskiej. Przebaczała jej to, że ośmieliła się kiedyś wyjść za Przeclawskiego. Przeclawska była wysoka, szczupła brunetka ze zwiędłą twarzą, małomówna i przesadnie dystygowana. Przedewszystkiem wytrzymała

pannę Czesławę przeszło pół godziny w przedpokoju. Panna Czesława uważała to za rzecz zupełnie naturalną. Przez uchylone drzwi widziała rąbek ciemnego salonu i nagle myśli, że u Przeclawskiego patrzyła z gabinetu na jego salon tak samo przez uchylone drzwi i że salon był tak samo ciemny, napęliła ją takim wzruszeniem, że nie mogła powstrzymać się od płaczu. Pokojówka zastała ją z chustką przy oczach.

— Pani prosi.

Przeclawska czekała w niewielkim pokoju, którego całe umeblowanie składało się z kilku szaf i dwóch krzeseł. Na widok jakiejś zapłakanej, nieszczęsnej istoty na twarzy jej odbił się wyraz przykryj nudy.

— Cóż to za sprawa? — odezwała się dość opryskliwie.

— Ja w sprawie pani...

Panna Czesława zawahała się. Nie chciała powiedzieć "pani męża", bo nie mogła uważać Przeclawskiego za męża osoby, przed którą się znalazła, a w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi, żeby powiedzieć — Zygmunta. — Jednakże to wahanie trwało krótko. Skupiła w sobie całą energję i dokończyła dobitnie.

— W sprawie Zygmunta.

— Jakiego Zygmunta?

— Pana Przeclawskiego. Ja jestem jego narzeczoną.

— Ach, tak? Przeclawska uchyliła drzwi.

— Józiu!

Odrązu w progu zjawiła się służąca, która miała nakazane widocznie czuwać w sąsiednim pokoju.

— Wyprowadź tę pannę.

Panna Czesława skoczyła w tył i oparta się plecami o ścianę, jakgdyby szykując się do obrony. Zbladła, oczy roziskrzyły jej się wściekłością, przez chwilę słowa wymówić nie mogła, tylko poruszała gorączkowo ustami, wreszcie wybuchnęła:

— Co? Za drzwi mnie chcecie wyrzucać? O, nie, niedoczekanie wasze! Może tu pani stróżów sprowadzać, policję, a ja nie wyjdę! Wszystkim rozpowiem, całe miasto się dowie! Zamknęliście go w szpitalu warjatów, żeby się ze mną nie mógł ożenić! Ja odrązu to wiedziałam; ale sama sobie nie chciałam wierzyć, bo nie myślałam, żeby kobieta była zdolna do takiej podłości. Zdawało mi się, że to tylko tamci. Ale żeby tak się mścić na człowieku!

Wyrzuciła to z siebie jednym tchem, przeraźliwym krzykiem i ta gwałtowność jej wybuchu w pierwszej chwili oszołomiła zupełnie

i Przeclawską i służącą. Patrzyły na siebie przerażone i bezradne.

— To warjatka — odezwała się wreszcie służąca.

— Warjatka! Ja ci pokażę warjatkę! — pogroziła jej panna Czesława pięścią. — Ze mnie warjatki nie zrobicie. A Zygmunt mnie kocha i będzie moim mężem!

Wyraz twarzy Przeclawskiej dowodził, że powoli uspakajała się i opanowywała sytuację. Początkowe nietyle nawet oburzenie, co zlekceważenie panny Czesławy ustąpiło miejsca ciekawości. Rewelacje tej jakiejś niezwyklej narzeczonej mogły rzucić pewne światło na przeżycia Przeclawskiego przed obłędem. I Przeclawską postanowiła ją wybać. Przedewszystkiem, oczami dała znać służącej, aby się

oddaliła.

— Niech się pani uspokoi.

Panna Czesława przypisała zmianę tonu Przeclawskiej obawie. Zaczęła więc jeszcze głośniejszym krzykiem.

— To nikczemność! Szlachetna kobieta tak nie postępuje. Jak panią porzucił, to trzeba się z tem zgodzić. I tak mu pani zawiązała życie.

— Niech się pani uspokoi — powtórzyła Przeclawską. I spokojem swoim zapanowała

nad nerwami panny Czesławy. — Proszę opowiedzieć wszystko jak było.

Pannie Czesławie tego tylko było potrzeba. Pierwsze słowa, jak pierwsze krople wezbranej wody przesycające się przez tamę, utworowały w duszy jej nurt, którym buchnęły zwierzenia. Po dwóch minutach mówiła do Przeclawskiej tak, jak do najbardziej zaufanej i serdecznej przyjaciółki. I z najdrobniejszych szczegółami opowiedziała jej historję swojej miłości od poznania Przeclawskiego w sklepie aż do chwili, w której jej wręczył zaręczynowy pierścionek z brylantem, pamiątkę po matce. Przeclawska ani razu nie przerywała jej opowiadania. W tych momentach, gdy panna Czesława zatrzymywała na niej wzrok, oczekując widocznie jakiejś uwagi, potwierdzenia, czy zaprzeczenia, poprzestawała na skinieniu głowy, albo uśmiechu, który zawsze mógł dać pannie Czesławie pożądaną iluzję. Czasami błyskało w jej oczach szyderstwo i gasło niepostrzeżone przez pannę Czesławę.

— Więc pani mi pomoże? — dopytywała się po skończeniu opowiadania, śledząc niespokojnym wejrzeniem Przeclawską.

— Ma się rozumieć, ma się rozumieć.

— Dziś jeszcze trzeba go uwolnić.

— Dziś się nie da. Zapóźno.

— A kiedy?

— Jak najprędzej.

— Jaka pani dobra.

I panna Czesława, pochyliwszy się zaczęła całować Przeclawską po rękach.

Przeclawska nie zwracała na to uwagi. Myślała, jakby pannę Czesławę unieszkodliwić. Doskonale zdawała sobie sprawę z furji i zaciekłości tej ogłupiałej istoty, i była pewna, że nie zaniedba ona niczego, aby skandal uczynić jak najgłośniejszym. Osobiście dla Przeclawskiej obłąd męża był wypadkiem pomyślnym, ponieważ wracał jej pełne prawa żony, a o nic więcej, poza pozorami, nie dbała. Miała nadzieję, że Przeclawskie nawet po odzyskaniu zdrowia stałby się już tylko pewną fikcją. I wykreślała zupełnie z rachunków rzeczywistości wszystkie przykre przejścia i upokorzenia, na jakie była narażona z powodu jego postępowania. W tych warunkach zjawienie się awanturnicy, obdarzonej dostateczną dozą bezczelności, aby wszędzie obnosić swoją historję narzeczeństwa z Przeclawskim i w dodatku insynuować, że był podstępnie przez rodzinę zamknięty w domu warjatów, w co ostatecznie wielu ludzi mogło uwierzyć, było dla Przeclawskiej o tyle niepożądane, że właśnie sama chciała odegrać rolę anioła opiekuńczego wobec tego męża, którego przez całe życie niecierpiała i w marzeniach pragnęła się pozbyć, pod tym jednak warun-

kiem, aby to się stało w przyzwoity sposób, to znaczy, nie urażający zbytnio światowych konwenansów.

— Ja się przez noc zastanowię co robić. Niech pani jutro rano zatelefonuje do ranie.

— Pan Przeclawski musi mieć oprócz pani jakąś rodzinę w Warszawie?

— Niema — odparła szybko Przeclawska. Panna Czesława spojrziała na nią podejrzliwie.

— Nikogo?

— W Warszawie nikogo. Przeclawska uczula, ze samemi obietnicami i ogólnikami nie tylko nie skłoni panny Czesławy do bierności, ale nawet nie pozbędzie jej się z mieszkania. I gdy gorączkowo poszukiwała w głowie jakiegoś wybiegu, o pozorach rzeczywistego posunięcia, na którym można coś budować, przypomniał jej się nagle adwokat Witecki. Znała go tylko ze słyszenia, wiedziała jednak, że w dzieciństwie przyjaźnił się z jej mężem i kochał się w jego siostrze. Rozeszli się wprawdzie potem, Przeclawski odzywał się o Witeckim zawsze z lekceważeniem i niechęcią, Przeclawska sądziła jednak, że wobec katastrofy Witecki zapomni o nieporozumieniach — wiedziała, że poważniejszego zatargu między nimi nie było — i pomoże jej zatuszować skandal. Z innych stron zresztą

słyszała o Witeckim jako o bardzo porządnym człowieku. Gdy po uzyskaniu separacji sama zaczęła się zajmować interesami i kilkakrotnie musiała szukać porady prawnej, radzono jej nawet, aby się zwróciła do Witeckiego. Przeclawska miała zamiar to uczynić właśnie z racji nieporozumień między mężem a Witeckim. Przypuszczała, że dzięki temu będzie miała życzliwego obrońcę — ale odwiodła ją jedna z kuzynek, która przedstawiła jej Witeckiego, jako człowieka fantastycznego i egzaltowanego. Przeclawska, sama niesłuchanie zimna i trzeźwa, miała wstręt do tego rodzaju ludzi. Teraz jednak, gdy chodziło o zagranie na strunach uczuciowości, te wady Witeckiego wydały jej się zaletami.

— Niech się pani zgłosi do adwokata Kazimierza Witeckiego — wykrzyknęła nagle tryumfującym tonem. To jest kolega Przeclawskiego z dzieciennych lat, znakomity adwokat, on nam napewno pomoże.

— Dziś jeszcze pójde.

— Niechżeż pani ma rozsądek w głowie. O tej porze żaden adwokat już pani nie przyjmie. Jutro razem pójdziemy.

Po wyjściu panny Czesławy, Przeclawska zatelefonowała do Witeckiego. Wszystko się stało, jak przewidywała — Witecki, wobec nieszczęścia, przekreślił wszystkie niechęci i urazy

do kolegi i zaofiarował się z pomocą, o ile mógł być na co potrzebny. Gdy usłyszał, że Przeclawska pragnęłaby go natychmiast widzieć, zaraz przyjechał. Przeclawska w porę zdążyła go uprzedzić. Dowiedziała się, że w tej właśnie chwili, gdy rozmawiali przez telefon, z Witeckim chciała się koniecznie widzieć jakaś młoda kobieta i zapowiedziała, że przyjdzie nazajutrz rano, przed dziewiątą. Domyślał się, że to była panna Czesława.

I domysł jego był trafny. Panna Czesława nie podejrzewała Przeclawskiej o fałsz i wyszła trochę uspokojona nadzieją, że wreszcie coś się rozpocznie, aby kochanego przez nią człowieka uwolnić. Kiedy jednak znalazła się sama, nastrój opustoszałej już i ponurej przez to ulicy wytrącił ją odrazu z tej słabiutkiej równowagi duchowej, jaką pozornie dla siebie samej odzyskała. Po kilkudniowej odwilży północny wiatr sprowadził mróz i chodniki dawały wrażenie jakiejś zimnej szarej suchości. Panna Czesława wyobraziła sobie, że tak musiały wyglądać ściany celi, w której zamknięto Przeclawskiego. Pierwszy raz w życiu stykała się myślami ze szpitalem warjatów i fantazja jej kreśliła obrazy ciemnych, lodowato zimnych lochów, w których majaczyły się ludzkie szkielety, skrepowane powrozami. Wybuchnęła w niej dzika rozpacz. Wsiadła w samochód i kazała

się wieźć do Witeckiego. Nie zastanowiła się nad tem, czy to jest rozsądne, czy nie, gnało ją przedewszystkiem podświadome pragnienie, aby z kimś jeszcze pomóc o Przeclawskim. To też, gdy jej adwokat nie przyjął, tak to odczuła, jakgdyby nowa katastrofa zwała się jej na głowę. Bała się wracać do domu. Zdawało jej się, że sama wśród czterech pustych ścian swego pokoiku zwarjuje z

bólu. I mimo, że kostniała z zimna, kręciła się po ulicach, opętana w końcu manjacką myślą, że Przeclawskiemu udało się uciec i że go spotka. Jakiś przechodzień, którego sylweta zarysowała się nagle w kręgu światła latarni elektrycznej o kilkadziesiąt kroków przed nią, tak był podobny z postaci i ruchów do Przeclawskiego, że aż jej tchu zabrakło. Puściła się pędem i dopiero zrównawszy się z nim, mogła stwierdzić omyłkę. Nieznajomy wziął ją oczywiście za ulicznicę. Powiedział kilka słów tak brutalnych i ordynarnych, że doznała wrażenia, jakgdyby ją kto w twarz uderzył. Przerażona odskoczyła i skryła się we wnęce bramy. Scenę tę obserwował zbliżona jakiś inny przechodzień, młody, dość elegancki mężczyzna. Zatrzymał się przed bramą i po chwili zbliżył do panny Czesławy, która nie śmiała się ruszyć.

— Czy pani niedobrze?

Przez kontrast z obrazą, jakiej doznała

przed chwilą, jego uprzejmy, miękki ton, od razu ją wzruszył.

— Nie, nie. Dziękuję panu. Nic mi nie jest.

— Pani mieszka w tym domu?

— Nie.

— A to czemuż pani wystaje w bramie na mrozie?

— Idę już — odparła, wysuwając się z bramy.

— Do domu?

— Do domu.

— A może nie do domu? — roześmiał się młody człowiek. Ten śmiech nie pozostawiał już najmniejszej wątpliwości co do jego intencji. Czując się narzeczoną Przeclawskiego i w dodatku w chwili, gdy Przeclawski cierpiał tak strasznie, panna Czesława nie mogła tej ulicznej zaczepki potraktować inaczej, jak obelgi, bardziej uprzejmej pod względem formy, ale nie mniej obrażającej, niż wymysły, które usłyszała przed trzema minutami. Taki też był jej pierwszy odruch, ale nim się zdążył uzewnętrznić, już go podcięło wahanie.

Nieznany przechodzień przedstawiał dla niej przedewszystkiem możliwość ucieczki przed samotnością. I myśl, że będzie mogła choćby przez czas drogi do domu z kimkolwiek i o czemkolwiek mówić, miała taki urok, że panna Czesława odezwała się po chwili milczenia.

— A dokąd?

— To już od pani zależy.

— Jakto odemnie?

— Wybór lokalu. Zjemy kolację, porozmawiamy o różnych ciekawych rzeczach, a całość sama się złoży.

— Dobrze — zdecydowała się nagle panna Czesława.

— Więc dokąd?

— Ale do gabinetu — dodała szybko. Nie mogła się przecież jako narzeczoną Przeclawskiego pokazywać z nieznajomymi mężczyznami na sali. I rozgrzeszała się od razu ze swej decyzji. Przecież nawet, gdy opowie wszystko Przeclawskiemu, to nie będzie miał do niej pretensji. Zrozumie, że chodziło jej tylko o to, żeby na kilka godzin zająć czemś myśl. Delikatny i sympatyczny wygląd nieznajomego budził w niej zresztą zaufanie. Napewno nie będzie sobie od razu na wszystko pozwalał.

— Skoro pani sobie życzy, to chodźmy do gabinetu — zgodził się młody człowiek. Zdawał już sobie sprawę, że nie ma do czynienia ze zwyczajną kokotą. Panna Czesława odgadła to instynktownie, chciała jednakże swoją sytuację społeczną silniej podkreślić.

— Pan sobie napewno wyobraża...

— Ależ ja się znam na ludziach, proszę pani, i to sobie wyobrażam, co sobie powinienem wyobrażać.

Dokładniej panna Czesława przyjrzała mu się dopiero w gabinecie. I pozostała przy pierwszym sympatycznym wrażeniu. Był dość przystojny i miał bardzo wesoły wyraz oczu. Z zachowania się widać było człowieka bardzo dobrze wychowanego. Pannie Czesławie przyszło na myśl, że mógł znać Przeclawskiego i zapytała go o to.

Młody człowiek spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Tego, który zwarzował?

— Nie, nie zwarzował — wybuchnęła panna Czesława.

— Nie wiem, o kogo pani chodzi. Jest wielu Przeclawskich.

— Pan zna wszystkich?

— Ani jednego.

— Nie zna pan — powtórzyła z takim rozczarowaniem w głosie, że w oczach młodego człowieka odbiło się jeszcze większe zdumienie.

— A cóż pani tak zależy na Przeclawskich?

— Zdawało mi się, że pan powinien być znać prezesa Przeclawskiego.

— Tego działacza społecznego, który odczyty miewał?

— Tak.

— Znam jego kuzynkę.

Panna Czesława zerwała się z krzesła,

— Zna pan?

— Jak się nazywa?

— Calewiczowa.

— Czy pan ma jej adres?

— Adresu nie mam, ale może pani zatelefonować do niej do biura.

— Boże, jak to dobrze, że ja pana spotkałam.

I panna Czesława zarzuciła swego towarzysza pytaniami, tyczącymi się Calewiczowej. Stosunkowo do tego, co chciała wiedzieć, mógł jej udzielić tylko bardzo niewystarczających i ogólnikowych wiadomości. Znał Calewiczową z biura, o prywatnym jej życiu nic nie wiedział. Mimo to panna Czesława raz po raz powtarzała pytania na które przed chwilą otrzymała przeczące odpowiedzi.

Wywierała wrażenie istoty nawpół przytomnej. I rzeczywiście tak była pochłonięta myślami o Przeclawskim, że na to, co się bezpośrednio dookoła niej działo nie zwracała uwagi. Młody człowiek nalewał jej wódkę i machinalnie piła kieliszek za kieliszkiem. Przypadkowe natrafienie na ślad jakiejś kuzynki Przeclawskiego od razu niweczyło wszystkie ścieżki i labirynty, po których tłukły się dotychczas jej myśli. Ratunek widziała już teraz tylko w tej tajemniczej pani Calewiczowej i w rodzinie Przeclawskiego. Do Przeclawskiej straciła nagle zaufanie, a w sekundę potem uważała ją już za największego wroga.

Miała wrażenie, że dopiero w tej chwili rozproszył jej się jakiś tuman w mózgu i zrozumiała prawdę. Postanowiła nie chodzić do Witeckiego. I znów przerwała młodemu człowiekowi w połowie jakiegoś zdania.

— A może pan zna adwokata Kazimierza Witeckiego?

— Nie.

— I nic pan o nim nie słyszał?

— Pierwszy raz w życiu dowiaduję się od pani, że istnieje taki adwokat.

— Szkoda.

— Pani mnie uważa za biuro informacyjne.

Młody człowiek powiedział to z ironicznym przekąsem, ale patrzył na pannę Czesławę z coraz bardziej rosnącym zaciekawieniem. Przygoda, której już zaczynał żałować, gdy przekraczali próg gabinetu (byłby się może cofnął, gdyby nie brak odwagi cywilnej wobec służby), nabierała przez to oryginalności. Czuł w powietrzu dramat, a ponieważ w grę wchodziły osoby o znanych nazwiskach, z

dobrej sfery, więc nie wydawał już się sobie śmiesznym, co prześladowałoby go niechybnie, gdyby miał tylko przed sobą suchy fakt zbyt pospiesznego zaproszenia na kolację do gabinetu pierwszej lepszej, spotkanej na ulicy kokoty czy półkokoty. Naprawdę jednak chciał pannę Czesławę wy badać, dlaczego ją tak niezwykle

zajmowały stosunki rodzinne Przeclawskiego. Na wszystkie pytania odpowiadała mu z zawziętym uporem w wyrazie twarzy.

— Nie powiem panu.

W pijanym mózgu pozostał jej tylko jeden nakaz, żeby nie skompromitować Przeclawskiego. Cóżby ten jakiś facet pomyślał sobie, gdyby się dowiedział, że narzeczona Przeclawskiego daje się na ulicy zapraszać nieznanym mężczyznom na kolację. Z mosiężnej klamki przy drzwiach, na której machinalnie zatrzymała wzrok, wysunęła się nagle druga taka sama klamka i podskoczyła ku górze. Panna Czesława zaczęła mrugać szybko oczami i zobaczyła przed sobą dziwną twarz o dwóch ustach i podwójnej parze oczu. Wydało jej się to tak zabawne, że wybuchnęła głośnym śmiechem.

\* \* \*

Wróciwszy do swego biednego pokoju, panna Czesława upadła przed łóżkiem na kolana i zaczęła płakać tak strasznie, że słyszano to doskonale w całym mieszkaniu. Właścicielka pani Terlecka, podsłuchiwała chwilę pod drzwiami, a potem je uchyliła.

— Co się pani stało?

Ponieważ panna Czesława nie odpowiedziała, więc pani Terlecka zbliżyła się do łóżka i zaczęła ją szarpać za ramię.

— Niechże się pani uspokoi, umarł pani kto, czy co?

— Nie, nie... Nic mi się nie stało. Dajcie mi spokój.

W odpowiedzi tej pani Terlecka dopatrzyła się nie tylko braku serca, ale i zuchwalstwa. Bądź co bądź, panna Czesława była tylko popychadłem sklepowym, więc, zdaniem pani Terleckiej, nawet w najwyższym bólu i rozpacznie nie powinna była zapominać o różnicach społecznych. Konieczność przestrzegania tego prawa w życiu pani Terlecka odczuwała tembardziej, że patrzyła własnymi oczami na rewolucję bolszewicką w Rosji i widziała, do jak strasznych rezultatów mogą doprowadzić pozornie drobne z początku rozluźnienia zasad.

— Jeżeli się komu nic nie stało, to nie wrzeszczy się o ósmej rano na cały dom

— zauważyła sucho. I, nie doczekawszy się i na tę uwagę odpowiednio pokornego usprawiedliwienia, ciągnęła już dalej bezosobowo:

— Przyzwoite kobiety nie spędzają nocy po za domem. Co zanadto, to niezdrowo. Każda cierpliwość ma swoje granice. Wymawiam mieszkanie. Trzeba pamiętać, że ze mną wojny na nic się nie zdadzą. Sakum, pakum i dowidzenie. W trudniejszych sytuacjach dawałam sobie radę.

Z całej tej gadaniny pannie Czesławie utkwiły w głowie tylko wyrazy "o ósmej rano". I to ją uratowało. Była tak otepiła, że zatraciła nie tylko poczucie czasu, ale i rzeczywistości. Kiedy jednak wpadło jej w uszy "ósma rano", automatycznie zbudziło to w jej znanym mózgu myśl, że trzeba iść do sklepu. Przebrała się pośpiesznie i uciekła z mieszkania, gdzie groziło jej w samotności chyba samobójstwo.

Nie pamiętała wcale chwili wyjścia z gabinetu restauracyjnego. Odzyskała świadomość w jakimś obcym pokoju, w łóżku, obok nieznanego, młodego człowieka. Rzeczy jej i bielizna leżały porozrzucone w nieładzie po całej podłodze. Zerwała

się z tak przeraźliwym krzykiem, że nieznajomy zatkał jej ręką usta. Potem oboje ubierali się pospiesznie, w milczeniu, nie patrząc na siebie. Z numerów na drzwiach które mijala, szukając schodów, odgadła, że był to hotel. Na ulicy zatraciła zupełnie orientację i przez jakiś czas szła w złym kierunku, oddalając się od domu. Największym przerażeniem przejmowała ją ta czarna luka w pamięci, z której nie mogła wyrzesać choćby strzępu jakiegoś obrazu.

Sobieszczak spojrział na nią z przerażeniem,

— Co się pani stało?

— Chora trochę jestem.

— Tego jeszcze było potrzeba. No, ale trudno. Niech pani wraca do domu.

— Nie, nie — zaprotestowała gorączkowo.

— Właśnie, jak pani chora, to wtedy się pani robi pracowita. Nie może się pani ludziom pokazywać. Bóg wie, co sobie o mnie pomyśla.

— Błagam pana, niech mi pan pozwoli zostać w sklepie.

— Dlaczego?

— Bo ja się w domu powieszę. Sobieszczak machnął ręką.

— Nie, droga pani, ja mam tego wszystkiego dość. Niech pani idzie chorować i już do sklepu nie wraca. Ja potrzebuję kasjerki, któraby pracowała. Pani ma czym innym głowę zajęta. Pretensji pani mieć nie może, bo zapłaciłem pani z góry, a jeszcze dwa tygodnie do miesiąca zostaje.

Przez chwilę panna Czesława głosu z gardła wydobyć nie mogła.

— Za cóż pan mnie chce wydać... Przecież... Wie pan, jakie mam przejścia.

— Niech pani sobie głowy nie zawraca. Przeclawski na dobre zwarjował i niema rady. Dowidzenia.

— A cóż ja ze sobą zrobię?

— Nie wiem. Ja już mam nową kasjerkę i zaraz przyjdzie. Przecież pani chyba sama rozumie, że tak pracować nie można.

Panna Czesława skinęła głową, jakby przyznając Sobieszczakowi słusność. I po chwili odezwała się drżącym głosem:

— A kto panu mówił o Przeclawskim?

— Wszyscy mówią.

— Wszyscy, wszyscy... I wczoraj mówili wszyscy, a pan nie wierzył.

— Bo mi pani zawróciła w głowie. Ale jak się na zimno zastanowić, to widać, że to wszystko nie miało sensu. Zresztą czy zwarjował, czy nie, mogę panią zapewnić, że się z panią nie ożeni.

Panna Czesława nie myślała ani o wymówieniu mieszkania, ani o utracie posady. Przeciwnie, te dwa nieszczęścia, które spadały na nią równocześnie, uspokoiły ją nawet trochę, bo widziała w nich karę za popełniony grzech. I idąc do domu, prowadziła w myśli jakby rozmowę z losem, starając się mu wytłomaczyć, że była ukarana dostatecznie. Jakiś przesądny lęk nie pozwalał jej się zwracać do Boga, więc go zastępowała czemś nieokreślonym i tajemniczym i przed tą nieznaną siłą — losem uskarżała się na swą niedolę.

— Dlaczego innym się wiedzie, a mnie nie? — wzdychała żałośnie. — Przecież nie popełniłam w życiu żadnego świństwa, ani złodziejstwa. Jak kto chciał odemnie jakiejś przysługi, zawsze mu robiłam. Od dzieciństwa pra-

cowalam, jak wół, i nie miałam żadnej takiej ochapki, jakie się wciąż trafiają innym. Dlaczego właśnie na mnie padło, że kiedy się bogaty człowiek we mnie zakochał i chciał ożenić, to go musieli zamknąć w domu warjatów? Cóż ja takiego zrobiłam? Puszczalam się kilka razy; prawda. Ale czy to mało kobiet się puszcza? Mężatki, co mają pracujących mężów i dzieci, i to z całym wyrachowaniem, na zimno. A ja przecież żadnych wyrachowali nigdy nie miałam. To było moje

nieszczęście, że trafiałam na łajdaków. I zresztą, ileż razy tego było? Piętnaście? Dwadzieścia? Żeby tak porachowały inne. Bo przecież z Przeclawskim się nie liczy. On już był jakby moim mężem. I wczoraj się nie liczy. Wczoraj z rozpaczą. I czy ja przysięgnę, co było? Nie pamiętam. Może tylko tak całą noc przespałam przy nim. Jak ja się tak upiłam, to i on musiał być nietrzeźwy. Odrazu usnął. I dziś wołał: — Niech się pani prędeż ubiera, niech się pani prędeż ubiera. — Jakby co było, toby mi tak odrazu rano nie mówił pani. Więc jeżeli zgrzeszyłam, to już jestem dostatecznie ukarana. Powinno się nareszcie odmienić. Nacierpiałam się w życiu nędzy i wiem, co to znaczy. Jakby się wszystko nanowo szczęśliwie ułożyło i jakbym wyszła za Przeclawskiego, to już napewno nie żałowałabym biednym. Każdy nieszczęśliwy miałby pomoc odemnie. Nie tak, jak

inne, co to jak się dorwie do pieniędzy, to rodzonej matce dałyby z głodu umrzeć.

I panna Czesława wzniosła oczy ku niebu. W instynktownym tym ruchu było jakby nieśmiało i nawet niesformułowane w myślach pytanie, czy tam, wśród zasłoniętych chmurami błękitów zrozumiano dobry interes, jakim byłoby dla miłosierdzia boskiego jej małżeństwo.

Tę swoją rozmowę z losem panna Czesława odczuwała w duszy, jak modlitwę. Aby w niczem nie umniejszać pokuty, jaknajszczerzej przebaczyła Sobieszczakowi. I uspokojona, wróciła do domu. Całą jej istotę znów pochłonęła troska o uwolnienie Przeclawskiego.

Popołudniu wybrała się odrazu do pani Calewiczowej. Otworzył jej Stefan Calewicz, który był sam w domu. Dowiedziawszy się, że Calewiczowej nie zastała, poprosiła o pozwolenie poczekania.

Stefan Calewicz przyjął to dość niechętnie.

— Wątpię, czy się pani doczeka. Moja matka nie wróci tak prędko.

— Ach, to pan jest synem?

— Tak.

— W takim razie ja panu opowiem wszystko. Państwo są spokrewnieni z Przeclawskim, prawda?

— Bardzo dalekie pokrewieństwo — odparł chłodno Stefan. — Nawet ich nie znamy. A o co pani chodzi?

— Pan wie, co się stało?

— Nie wiem.

— Jakto? Nie słyszał pan? Przeclawskiego zamknięto w domu warjatów.

— Jeżeli zwarzjował, to zupełnie naturalna rzecz.

— Jakto naturalna? Pan jest jego krewnym i pan to obojętnie tak mówi? —

wybuchnęła panna Czesława, zapominając o całej dyplomacji, jaką sobie nakazywała po drodze do Calewiczów.

— Ale, o co pani chodzi?

— Żeby mi państwo pomogli ratować człowieka.

— Jakto ratować? Przecież jest pod opieką lekarzy.

— Czy pan wie, co to są lekarze?

— No, trochę wiem, bo sam się kształcę na lekarza.

Panna Czesława się zmieszała.

— Nie mówię o wszystkich. Są bardzo szlachetni ludzie. Ale ci, którzy zamknęli Przeclawskiego, dobrali sobie odpowiednich łajdaków.

— Co pani plecie?

— Mówię najświętszą prawdę. Przeclawski jest zdrow, tak samo, jak pan i ja. Przysięgam panu.

I panna Czesława chaotycznie zaczęła opowiadać całą historję Calewiczowi. Po pięciu minutach młody medyk wiedział już, że ma przed sobą histeryczkę, z którą nie warto było poważnie rozmawiać. Zgodził się więc najzupełniej, że zamknięcie Przeclawskiego było masonską intrygą i myślał tylko o tem, jakby się jej pozbyć. Ale panna Czesława nie zabierała się do odejścia. Skończywszy opowiadanie, złożyła ręce i spojrzała błagalnie na Calewicza.

— Niech mi pan dopomoże.

— Ale cóż ja zrobię? W czymże ja pani mogę dopomóc? Moja matka także pani nie dopomoże. Bardzo pani współczuję, ale są nieszczęścia, z którymi trzeba się zgodzić.

— Nie! — wykrzyknęła panna Czesława.

I rozplakała się gwałtownie. Calewicz zaczął ją uspakajać, podał jej szlanke wody i ogarniała go coraz większa bezradność. Z opowiadania Czesławy nietrudno mu było odgadnąć prawdę. I budziło się w nim współczucie dla głupiej, nieszczęsnej istoty, która uwierzyła w miłość człowieka dotkniętego paralizem postępującym. Calewicz był nieczuły na ból fizyczny i wobec jego przejawów mógł się zachowywać najzupełniej obojętnie. Ale

każde cierpienie moralne wstrząsało odrazu jego wrażliwemi nerwami. Nie zastanawiał się nad tem, czy przyczyna była poważna, czy błaha, tylko widział cierpienie. Ponieważ sam się czuł pokrzywdzony przez ojca, który mu według jego urojeń przekazał gruźlicę, więc w wypadku biednej sklepówki widział jakby analogiczny przykład spaczenia czyjegoś życia, przez cudzą chorobę.

— Niechże pani nie płacze. Ja nie wiem, co panu Przeclawskiemu jest. Mogą go wyleczyć i będzie jaknajzdrowszy. Dam pani kropel walerjanowych, niech pani zażyje. A potem najlepiej niech pani wraca do domu i połóży się do łóżka.

Panna Czesława przestała wreszcie płakać. Przez chwilę patrzyła przed siebie z wyrazem tępego zamyślenia w oczach i nagle zwróciła się do Calewicza:

— Ja mam do pana wielką prośbę.

— Jaką?

— Niech pan pójdzie ze mną do adwokata Witeckiego.

— Ja go nie znam.

— To nic nie szkodzi. Mój panie, mój drogi panie, niech mi pan nie odmawia. Cóż to dla pana znaczy? Godzina czasu. A ja już boję się sama chodzić.

— Ale cóż ja pani pomogę?

— Pan jest krewny Przeclawskiego. Jak przyjdziemy razem, to taki adwokat będzie ze mną inaczej rozmawiał. On ma podobno olbrzymie stosunki i może Przeclawskiego uwolnić. Ja się tam umówiłam z Przeclawską, ale teraz widzę, że źle zrobiłam. W rozpaczycy poleciałam do niej, bo mi się zdawało, że w takim nieszczęściu wszyscy powinni człowieka ratować. A to zła, fałszywa kobieta. Jak tylko wyszłam od niej, odrazu zdałam sobie z tego sprawę. Ja chciałam matkę pana prosić, żeby ze mną poszła, ale może lepiej nawet będzie, jak pan pójdzie. Mój drogi panie! Błagam pana.

— Pani żąda odemnie niemożliwych rzeczy. Pocóż ja tam pójde?

— O Boże! Boże! Czy to taka wielka rzecz iść do adwokata, jak ktoś nieszczęśliwy prosi.

Panna Czesława powiedziała to znów nawpół z płaczem i Calewicza ogarnął niepokój, żeby znów nie dostała spazmów. Czuł całą śmieszność swojej bytności u adwokata, ale nie widział innego sposobu pozbycia się histeryczki. Obecność jej w mieszkaniu coraz bardziej go drażniła.

— No dobrze — odezwał się wreszcie. — Mogę z panią iść do tego adwokata.

Calewicz ćwiczył się wciąż w przewycięzaniu samego siebie. Przyszło mu na myśl, że skoro tak drobna nieprzyjemność, jak chwilowa

głupia sytuacja, mogła jednak sprawić pewną ulgę nieszczęśliwej istocie, to nie warto się było o to targować. Zaciął zęby i w mężnym milczeniu słuchał bredni, jakie po drodze plotła mu panna Czesława.

W poczekalni u Witeckiego zastali kilka osób. Na szczęście panna Czesława umilkła, nie chcąc przez ostrożność rozmawiać przy obcych. Calewicz zapalił papierosa i z rezygnacją i siłą woli bronił się przed zniecierpliwieniem. Siedział nawprost drzwi, wiodących do przedpokoju. Po drugiej stronie przedpokoju znajdowały się drugie drzwi, mniejsze, z matową szybą u góry, przez którą przebijało światło. I nagle, gdy mimo wszystkich nakazów woli Calewicz zaczął tracić cierpliwość, drzwi te uchyliły się i zobaczył przed sobą pannę z Urli, którą podejrzewał o miłość do Henia.

Zaczerwienił się gwałtownie i ogarnęła go wściekłość na siebie samego. Teraz dopiero czuł się śmiesznym.

Ale i na pannie obecność Calewicza w poczekalni wywarła widocznie niezwykle wrażenie. Stała, jak wryta. I także się zaczerwieniła. Po chwilowym wahaniu, zbliżyła się do Calewicza.

— Proszę pana — odezwała się sztucznie urzędowym tonem, wskazując Calewiczowi przeciwległy pokój.

Oszołomiony, machinalnie poszedł za nią.

— Ja jestem sekretarką mecenasa Witeckiego i zarazem jego córką — przedstawiała się z widocznym wysiłkiem, aby to wypadło naturalnie. — Może pan mnie opowiedzieć sprawę, a ja ją zreferuję ojcu. Nie wiem, czy zdąży dziś wszystkich przyjąć.

Calewicz przedstawił się również i zaczął jakby zawstydzony trochę:

— Właściwie ja osobiście nie mam żadnego interesu do pana mecenasa.

— A to poco pan przyszedł?

I po tem pytaniu sekretarka znów się zaczerwieniła, jakgdyby spostrzegając się zapóźno, że ton pytania był zbyt gwałtowny.

— Ja przyszedłem w towarzystwie tej pani, która obok mnie siedzi w poczekalni.

Po twarzy panny Witeckiej przebiegł grymas niezadowolenia.

— Jakaż to sprawa? Calewicz machnął ręką.

— To nieszczęsne stworzenie i trzebaby pana mecenasa jakoś od niej uwolnić.

— Ach, to może ta, ta narzeczona Przeclawskiego?

— To pani już wie o niej?

— A co pana z nią łączy?

— Mnie, nic. Mój ojciec był dalekim krewnym Przeclawskich i wcale ich nie znamy. Ale

ta panna dziś na nas naszła i zupełnie mnie steroryzowała. Dostała spazmów i dla świętego spokoju musiałem ją tu sprowadzić. Pojęcia nie mam o tej całej sprawie. Panna Witecka spojrzała na Calewicza z uśmiechem:

— To pan się tak łatwo daje teroryzować?

— A cóżby pani zrobiła na mojem miejscu?

— To samo.

— Więc mi pani nie ma za złe, że z nią przyszedłem?

— Ależ nie. Bardzo dobrze się stało. Ja miałam wielką ochotę poznać pana w Urlach.

— To pani mnie zauważyła?

— No, wie pan, dziwne pytanie! Chyba dość natrętnie przyglądałam się panu. Zato pan mnie napewno nie zauważył.

— O, doskonale panią pamiętam.

— Dlaczego pan tak nagle uciekł?

— Tak — odparł wymijająco Calewicz. Nie chciał mówić rzeczywistej przyczyny, podejrzewając pannę Witecką o sympatje dla Henia. Ale ona roześmiała się nagle.

— A ja się domyślam. Nie mógł pan wytrzymać z tą czerwoną małą.  
— Czerwoną małą?  
— No, z tym, tym pańskim uczniem. Wyobrażam sobie, co to był za idjota.  
Serdecznie panu współczułam.

Calewicz rozpromieniał nagle.

— Pani prawdę mówi?

— Mój panie, cóż to za dzikie obyczaje! Pierwszy raz rozmawiamy, i już mnie pan podejrzewa o kłamstwo.

— A ja myślałem, że mój uczeń bardzo się pani podobał.

— Jaki pan był głupi. O, przepraszam! Calewicz wcale się nie obraził.

Przeciwnie,

tak to przyjął, jakgdyby panna Witecka powiedziała mu coś niesłychanie miłego i zabawnego.

— Pragnęłabym z panem dłużej porozmawiać.

— No, to rozmawiajmy.

— Nie, ja chcę tak rozmawiać, żeby nam nikt nie przeszkadzał. Czy pan sam mieszka?

— Nie. Z matką.

— Szkoda.

— Dlaczego?

— Byłabym do pana przyszła.

— Może pani przyjść swobodnie. Moja matka do wpół do czwartej bywa w biurze.

— W takim razie, jutro o drugiej. Ale, a jaki adres pański?

Calewicz tak był uszczęśliwiony, że z trudem przypomniał sobie, gdzie mieszka.

— A teraz może pan uciekać. Ja już się tu zajmę pańską warjatka.

## VII.

W niedzielę po południu Krzysia była sama w domu. Zamyślona, spacerowała po salonie i raz poraz zatrzymywała się przy drzwiach balkonu. W ściemnionej, przez brak światła sklepowych ulicy, sylwetki przechodniów nabierały nieokreślonej tajemniczości. Z ruchów ich uciekało życie i zdawało się, że są automatycznymi lalkami. Żółto oświetlone tramwaje nudno przetaczały się po szynach i nad wszystkim ciążyła świąteczna bezdusność. Krzysia wciąż myślała o swojej wczorajszej bytności u Calewicza. Poszła bez najmniejszego wahania i przez drogę nękała ją tylko myśl jedna, żeby Calewicz uwierzył, że to nie był kapryśny wybryk z jej strony, tylko bardzo przemyślane postanowienie. Spędziła u niego półtorej godziny i największą radością przejmowało ją to, że ta pierwsza prawdziwa ich rozmowa odbyła się tak, jak sobie wyobrażała. Szczycąc się

swoją zimną, męską logiką Krzysia nie zastanawiała się tylko nad tem jednym, że właściwie tej rozmowy nie wyobrażała sobie wcale. Ani słowem nie wspomnieli oboje, że są w sobie zakochani, tylko przyznali się nawzajem, że od czasu pierwszego przelotnego spotkania w Urlach nie przestawali o sobie myśleć. Calewicz odprowadził ją do domu i kiedy Krzysia znalazła się nareszcie u siebie na schodach, ogarnęła ją prawie rozpacz na myśl o tych najważniejszych rzeczach, jakich nie dopowiedziała jeszcze. I rozumiejąc teoretycznie, że wszystko to można było przecież dopowiedzieć przy następnym spotkaniu, odczuwała to tak, jakgdyby coś straconego bezpowrotnie. We drzwiach mieszkania usłyszała dzwonek telefonu. Biegąc do aparatu, wiedziała, że to dzwoni Calewicz. I nie omyliła się rzeczywiście. Z zabawnym zakłopotaniem usprawiedliwiał się, że dzwonił z najbliższego sklepu, bo się bardzo stęsknił. Odpowiedziała mu: — Ja tak samo. — I każde z kilkunastu chaotycznych zdań, jakie zamienili, było w tonie

podkładaniem pod obojętne słowa wyznaniem miłości.

A teraz nie mogła odżałować, że mieli się spotkać dopiero nazajutrz. Sama zresztą przeskoczyła niedzielę, bo nie umiała sobie wyobrazić gdzieindziej serdeczniejszej rozmowy z Calewiczem, niż u niego. Ogarnęła odrazu

uczuciem te dwie bardzo ciasne klitki i obraz biedy ich napełnił ją niesłychanym rozrzewnieniem. Żałowała, że nie wzięła od Calewicza choć jakiejś książki. Z zamyślenia wyrwał ją nagle gwar w przedpokoju. Rodzice z Helą wracali z popołudniowej wizyty, na którą Krzysia nie chciała iść. Hela zajrzała do salonu. — Cóż ty tak pociemku sterczysz? Żałuj, żeś nie poszła z nami. Bardzo było przyjemnie.

— I mnie było przyjemnie.

I nie słuchając siostry, która z hałaśliwym śmiechem zaczęła jej opowiadać o wizycie, Krzysia uciekła do swego pokoju. — Zawsze musi manifestować swoje dziwactwa — zauważyła pani Witecka, — ale ponieważ uznano to już w domu za pewien przywilej Krzysi, więc zostawiono ją w samotności... Zresztą niewiele jej z tego przyszło, bo miała myśli rozbite i tylko dlatego dosiedziała u siebie do kolacji, żeby jej zniecierpliwienie nie wyglądało na jakieś nieuzasadnione grymasy. Przy stole rozmawiano w dalszym ciągu o wizycie. Witecka oburzyła się na jakąś panią, która się rozwiodła i część mieszkania odstąpiła swojemu nowemu narzeczonemu. Krzysia spojrzała na matkę wyzywająco.

— A cóż w tem złego?

Witecka wzruszyła ramionami, widocznie jednak przyszły jej zaraz na myśl pedagogiczne obowiązki matki, gdyż odparła spokojnie:

— To w tem złego, że wszyscy będą rozpowiadali napewno, że ze sobą romansują.

— A mama sądzi, że nie?

Było to powiedziane takim tonem, że Witecka w pierwszej chwili nie mogła się zorientować, czy Krzysia żartowała, czy mówiła poważnie. Krzysia, jakgdyby odgadując wahanie matki, dodała zaraz:

— Ja sądzę, że romansują.

— No, wiesz...

— Cóż tak mamę oburzyło?

— Z tobą się dogadać nigdy nie można. Chyba naumyślnie głupią udajesz.

— Nie rozumiem mamy.

— Zdziwiłaś się, gdy mówiłam, że to nietaktowne. A sama robisz złośliwe plotki.

— Nic złośliwego nie powiedziałam. Byłoby złośliwe, gdybym przypuszczała, że nie romansują, boby to dowodziło, że ich uważam za parę idjotów.

Witecki kiwnął potakująco głową z uśmiechem. I tem ściągnął na siebie zgorszenie żony.

— Mógłbyś już tych cynizmów nie aprobować.

— Pocóż ty tak odrazu wszystko patetycznie bierzesz. Przecież rozumiesz chyba, że to żarty.

Krzysia zmarszczyła brwi, zamyśliła się, a potem potrząsnawszy nagle bujną czupryną, która jej opadła na czoło, zwróciła się do ojca.

— Ja nie żartuję.

— W takim razie, poprostu głupstwa pleciesz.

— Mojem zdaniem — nie.

Witecki skrzywił się i machnął ręką. Był to gest dla całej rodziny zrozumiały. —

Mam ważniejsze sprawy na głowie, niż wdawanie się z wami w dysputy. — Zazwyczaj przecinało to rozmowy, nie dlatego aby autorytet jego był tak wielki, tylko, że i żona i córka wiedziały, że nie będzie ich słuchał. Tym razem Krzysia, dla której rozmowa ta łączyła się z jej długimi rozmyślaniami, postanowiła

przewyciężyć apatię ojca i zmusić go do słuchania.

— Mój tatusiu, nie można nam zawsze dawać tylko do zrozumienia, że jesteśmy głęsi. Ja chcę pomówić poważnie.

Witecki uśmiechnął się ironicznie.

— Poważnie, o głupstwach?

— A czyżby tatuś to potępił, gdybym ja lub Hela, nie mogąc dla tych, czy innych po-

wodów wyjść zamaż, zamieszkały z kochanym człowiekiem, tak, jak ta pani.

— Może ty! — wybuchnęła Witecka. — Za Helę ręczę, że tego by nie zrobiła! I wogóle, czy nie można obrąć sobie jakich innych tematów do rozmowy?

— Nalej-no mi lepiej jeszcze herbaty — odezwał się Witecki. — A jeżeli chcesz, żebym ci odpowiedział poważnie na pytanie, to ci odpowiem. Nigdy w życiu nie zamieszkałabyś bez ślubu z najbardziej kochanym mężczyzną.

— Otóż, bardzo się tatuś myli.

— Krzysia, daj spokój — wtrąciła się Hela. Witecka poczerwieniała z oburzenia.

— To już poprostu niesmaczne.

— Daj jej spokój — ziewał Witecki. — Niech plecie, kiedy ją to bawi.

— Ależ ja nie plotę! — wybuchnęła nagle Krzysia z błyskiem takiego podniecenia w oczach, że wszyscy spojrzeli na nią zdziwieni. — Zrozumcie, że nie plotę! Mówię najzupełniej poważnie. Ja bardzo długo o tem myślałam.

— Ale narazie nie masz zamiaru zamieszkać z ukochanym człowiekiem? — uśmiechnął się Witecki.

— Kto wie?

Witecka zerwała się z krzesła.

— Czyś ty oszalała do reszty.

Bardziej od słów Krzysi przestraszył ją uroczysty ton tego powiedzenia. Krzysia nie straciła spokoju.

— Moja mamó. To jedyny argument, na jaki mama potrafi się zdobyć. Nigdy w życiu nic innego od mamy nie słyszę, tylko — czyś ty oszalała, czyś ty oszalała. — Ja chyba nie wyglądam na szaloną.

Hela wpatrywała się w siostrę z wyrazem przerażenia w szeroko otwartych oczach.

Źródłem tego przerażenia jednak była nie możliwa decyzja siostry, tylko przykrość, jaką by to sprawiło rodzicom. Zasadniczo od początku rozmowy stała po stronie Krzysi. I wydało jej się, że teraz dopiero rozumiała, dlaczego Krzysia się uparła, żeby popołudniu zostać w domu. — On tu musiał napewno być — pomyślała. Kim miał być ten on, nie miała najmniejszego pojęcia. Wszystko jednak wydało jej się tak straszne i tajemnicze, że postanowiła natychmiast poświęcić życie dla ratowania siostry. I łzy zakręciły jej się w oczach.

— Krzyśka — jęknęła cicho.

— Czegóż ty już zaczynasz swoje beki?

— Widzisz, widzisz, do czego ty nas wszystkich doprowadzasz! — krzyknęła Witecka i objęła Helę w pól. — Biedne moje dziecko, nie płacz, uspokuj się!

Witecki przyglądał się Krzysi z widocznym zaniepokojeniem. Zadobrze znał córkę, żeby nie widzieć, że wstrząsnęły nią jakieś głębokie uczucia. I rozumiał doskonale, że Krzysia nie brawurowała i że nie można tego było zbyć lekceważeniem.

— Moje dziecko — odezwał się po chwili — wytłomacz mi, co to wszystko ma znaczyć?

Oczy Witeckiej latały niespokojnie od Krzysi do męża. Nagle podniosła się z krzesła, pociągając za sobą Helę.

— Najlepiej rozmówcie się sami.

— Mama już robi dramat.  
— Moja Krzysiu, czegoś ty chcesz odemnie?  
— Mama chce od razu urządzać jakąś uroczystą spowiedź. Nie mam żadnych grzechów na sumieniu.  
To jej zapewnienie przyniosło wszystkim ulgę. Mimo to, Witecka z Helą wyszły z pokoju.  
— I czemuż ty drażnisz matkę? — odezwał się Witecki.  
— Niechże mi teraz tatuś odpowie spokojnie. Czy to jest co złego żyć bez ślubu? Sam utrzymywałeś nieraz, że nie.  
Witecki trochę się zmieszał.  
— Miałem na myśli wyjątkowe okoliczności.

— A jeżeli zachodzą wyjątkowe okoliczności?  
— Musiałbym je znać, żeby odpowiedzieć. Często ludzie dopatrują się wyjątkowych okoliczności tam, gdzie ich wcale nie ma. Jeżeli zresztą mamy mówić szczerze, to przedewszystkiem ty mi odpowiedz szczerze na kilka pytań.  
— Dobrze.  
— Zakochałaś się?  
— Tak, — odparła Krzysia spokojnie, patrząc ojcu prosto w oczy. I mimo wszystkie jego teorie o potrzebie jaknajdalej idącej szczerości we wzajemnych stosunkach rodziców z dziećmi i subtelnem odczuwaniu cudzych stanów psychicznych, co uważał za swoją, może nawet wyjątkową, właściwość, ta prostota córki trochę go uraziła. Z nałogu konwencjonalnego byłby ją wolał widzieć w tej chwili zmieszaną i zawstydzoną. To też zapytał dość chłodno.  
— Dawno?  
— W lecie.  
— W lecie? I nic dotychczas o tej znajomości nie mówiłaś?  
— Bo znajomość trwa dopiero od trzech dni.

— No, to niedawno — roześmiał się Witecki, ucieszony nagle tą odpowiedzią. — Któż to jest?  
— Student. Medyk. Już kończy. Nazywa się Stefan Calemwicz.  
— Żonaty?  
— Nie.  
— No, więc jakież tu mogą być wyjątkowe okoliczności?  
— Niech tatuś wie, że gdyby on nie mógł się ze mną ożenić, a zażądał, żebym z nim zamieszkała, tobym z nim zamieszkała. Dlatego to wszystko mówię, że nic na świecie mnie z nim nie rozłączy. My się już kochamy na śmierć i życie.  
Widząc egzaltację córki, Witecki uśmiechnął się pobłaźliwie. Najważniejsze było to, że się przestał niepokoić, ponieważ zagadkowe przed chwilą jej zapowiedzi oceniał już teraz tylko jako grę zbyt rozognionej wyobraźni bez istotnych podstaw. Zresztą, całą odpowiedzialność za niezwykle i zatrający melodramatem nastrój, jaki się wytworzył przy stole, przeniósł na żonę, której patos i miny działały podniecająco na Krzysię.  
— Jakaście zdążyli już się porozumieć w ciągu tych trzech dni — odezwał się, przechodząc na przyjacielski ton.

— Czyż to wiele czasu potrzeba?  
— No, jeżeli porządny chłopak, to bardzo dobrze. Matka się ucieszy, będzie miała zięcia i znajdzie nowe ujście dla narzekań. Ale gdzieżeście się poznali?  
Krzysia opowiedziała ojcu całą historję, Witecki się roześmiał.  
— Ano wszystko w porządku. Z warjacji Przeclawskiego i obłędu tej jakiejś jego niby to narzeczonej urodziło się nowe szaleństwo.  
Krzysia nic nie odpowiedziała. Patrzyła zamyślona przed siebie. Witecki tkliwym

ruchem odgarnął jej kędziory z czoła.

— O czym się tak zamyśliłaś?

— A właśnie o tem, co powiedziałaś. To prawda. To nieszczęśliwe stworzenie przydało się nam jednak.

— Wiem, za co cierpię — westchnął z żartobliwą powagą Witecki. — Dziś przed południem trzy razy do mnie telefonowała. Szkoda żeście nie wynaleźli innego sposobu zawarcia znajomości.

— Odwdzięczę ci się za to jakoś, tatusiu — uśmiechnęła się Krzysia, całując ojca. Krzysia, utrzymując, że panna Czesława przydała jej się do zawarcia znajomości ze Stefanem, nie dopowiadała ojcu wszystkich swoich myśli. Nie miała w naturze skłonności

do zbyt drobiazgowych zwierzeń. W istocie jednak niedaleka była od przypuszczenia, że bez panny Czesławy możeby nawet wcale nie poznała Calewicza. Pierwotny zamiar, żeby go poprostu zaczepić, wydawał się niesłychanie łatwym w Urłach. Niestety, Calewicz zniknął wówczas niespodziewanie, a w Warszawie ta sama sprawa przedstawiała się już znacznie trudniej. Wprawdzie dość często widywała go na ulicy, ale mimo wszystkich starań nie udało jej się go spotkać chociażby na podwórzu uniwersyteckim, gdzie przez pewną sugestję jakiegoś wyodrębnionego świata śmieiej mogła zapanować nad konwenansami, które aczkolwiek lekceważone przez nią w rozmyślaniach, odzyskiwały swoją władzę w chwili zetknięcia z rzeczywistością. Atmosfera ulicy wytwarzała między nią a Calewiczem jakiś inny odcień obcości, surowy i nieprzyjemny. Na to, aby konwenans przełamać, musiałaby mieć jakąkolwiek zachętę ze strony Stefana, chociażby we wrazeniu, że na nią zwraca uwagę. Młody medyk mijał ją zawsze jakby nie widząc z posępnym wyrazem twarzy. Obawiała się nieporozumienia. Krzysia, jak każda kobieta, podświadomie odczuwała, czy się podoba, czy nie, w stosunku jednak do Stefana zawsze zatracala to odczuwanie. Przy jej energicznym i zuchwałem usposobieniu

wszelka beznadziejność była stanem nie do zniesienia. Po pewnym czasie postanowiła przełamać ogarniające ją uczucie i wogóle przestać o Calewiczu myśleć. I właśnie kiedy z lekkim stwierdzała, że będzie to bardzo trudne, panna Czesława wprowadziła go jakby cudem w jej życie.

— No cóż, trzeba rozpowiedzieć wszystkim tę nowinę — odezwał się Witecki.

— Nie, nie — zaprotestowała szybko. — Jeszcze nic nie mówmy.

— Dobrze. Tylko nim się ostatecznie zdecydujesz, dowiedz się jeszcze, czy to naprawdę porządny chłopak.

— O, to już wiem — wybuchnęła gorąco.

— Musisz mnie jak najprędzej z nim poznać.

— Jutro.

Witecki nigdy nie miał czasu. Więc zmarszczył brwi z wyrazem zamyślenia. Ale po chwili machnął ręką.

— Jakoś tak się urządzę, żeby godzinę dla was znaleźć.

I Witecki poszedł do swego gabinetu. Skrzyp drzwi i odgłos jego kroków były znakiem dla matki i Heli, które się schroniły do pokoju sąsiadującego z gabinetem, że tajemnicza rozmowa skończona. Obie wróciły więc do jadalni, Przyczem przybrały takie miny, jakgdyby rozmowa Krzysi z ojcem najzupełniej uszła ich

uwagi. Niedługo jednak wytrzymały w tej roli. Wyraz twarzy Witeckiej, odrazu się zmienił, można w nim było wyczytać urazę i myśl — skoro mają być jakieś tajemnice, to się nie dopytuje — a oczy Heli znów rozszerzyło przerażenie.

## VIII.

Calewicz słuchał Krzysi z zamierającym sercem. Czuł, że powinien jej przerwać, powiedzieć prawdę, zburzyć te wszystkie ułudne majaczenia i nie miał odwagi.

A Krzysia roześmiana, rozpromieniona, żyła tylko swoim szczęściem.

— Przecież nie potrzebujemy czekać końca studiów. Jeszcze dzisiaj rano rozmawiałam o tem z ojcem. Mówi to samo, co i ja. Za trzy tygodnie weźmiemy ślub i już będziemy ciągle razem. Narazie możemy doskonale pomieścić się u rodziców; taka studencka para, jak my, nie potrzebuje apartamentów, Hela będzie płakała ze wzruszenia, a mama zaraz zacznie toczyć wojny, żebyś dużo jadł i nie wysiadywał długo po nocach. Ojciec już mi obiecał pensję jako sekretarce. Damy sobie radę i będzie nam dobrze.

Calewicz pochylił głowę i przymknął oczy. W tej chwili dopiero wyraz jego twarzy zwrócił uwagę Krzysi.

— Co ci jest, Stefku?

W ciągu tej rozmowy przeszli na "ty", jakgdyby już nie potrafili mówić do siebie inaczej.

— Ja...

— Chciałem powiedzieć—Ja nie mam prawa być szczęśliwym — i wyrazy uwięzły mu w gardle.

Krzysię ogarnął nagły lęk. Ale jej uniesienie nie mogło dopuścić nawet myśli o jakimś rozczarowaniu. Przynęła się do Stefana i pocziwym, siostrzanym ruchem objęła go za

szyję-

— Powiedz, kochanie. Czem się w tej chwili zmartwiłeś? Przecież ja chcę wiedzieć o wszystkich twoich troskach. My jesteśmy jedno. Prawda?

Mówiąc to, przynęła twarz do jego twarzy

i prawie dotykała jej ustami. Wraz z porywem zmysłów Stefana ogarnęła jakaś rozpaczliwa determinacja. — Wszystko jedno. Należy mi się choć chwila szczęścia w życiu — przemknęło mu przez mózg. Jeszcze bardziej pochylił głowę i z nieznajomą rozkoszą ucałował wyraźnie zaznaczające się pod cienką tkaniną sukni

koniuszczki piersi. Krzysia drgnęła, ale nim zdążyła rzucić się w tył, Stefan ogarnął ją ramionami i całował w oczy, w usta, w czoło, szepcząc te słowa miłości, przy których znika wstyd. Krzysia doświadczała uczucia szczęścia, graniczącego z utratą świadomości.

W tej chwili we drzwiach wchodowych rozległ się nagle zgrzyt klucza. Stefan zerwał się na równe nogi. Do przedpokoju weszła pani Calewiczowa, ale zauważywszy przez niedomknięte drzwi kobiecą sylwetkę, skrzyła odrazu do kuchni.

— Mama — szepnął Stefan zmieszonym głosem.

Krzysia chwilę stała nieruchomo. Nagle, jakgdyby przytomniejąc ze snu, przesunęła dłoń po twarzy i zbliżyła się do Stefana. Na mgnienie oka przylgnęła gorącym policzkiem do jego ramienia i poszła do kuchni. Pani Calewiczowa stała przy oknie, odwrócona plecami do drzwi. Wróciła do domu niespodziewanie,

o godzinę wcześniej. To, że syn, mogąc liczyć na jej nieobecność, przyjmował jakąś swoją znajomą, nie wydawało jej się niczem gorszącem. Ale niebardzo wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji. — Uczuła że ją ktoś bierze delikatnie za rękę. Odwróciła się szybko i na widok przeźroczystych oczu nieznajomej dziewczyny

i zmieszanego uśmiechu, który się ledwo rysował

na rozchylnych ustach, poczuła od razu do niej ogromną sympatię.

— Jestem Krystyna Witecka — odezwała się Krzysia.

Z wyrazu twarzy Calewiczowej Krzysia zrozumiała, że Stefan nic jeszcze matce nie powiedział. I równocześnie odczuła, że jeśli z jakichkolwiek powodów sprawiło mu to trudności, to właśnie na nią spadał obowiązek, żeby go wyręczyć.

— Wiem, że Stefan nic pani jeszcze nie mówił...

Calewiczowa odczuła całą szczerość i powagę tonu Krzysi. Uśmiechnęła się do niej, tak jak się uśmiechała do swojego syna.

— O czym mi Stefan nie mówił?

— Bo my się już dawno znamy, — zaczęła śmiało Krzysia, ale przy następnych wyrazach głosu jej coraz bardziej załamywał się i drżał. Bardzo się kochamy i postanowiliśmy... — znów umilkła, jakgdyby nie umiejąc znaleźć wyrazów.

— Cóż to za skryty chłopak z tego Stefana! — wykrzyknęła Calewiczowa. — Gdzieście się poznali?

— W lecie.

— I ani słowem mi nie wspomniał.

— Bo my długo znaleźliśmy się tylko z widzenia.

Calewiczowa wzięła Krzysię za rękę i pociągnęła za sobą do pokoju. Dla niej była to nowina radosna, ponieważ oddawna pragnęła, żeby się Stefan zakochał i w ten sposób wyleczył ze swej ponurej manji. Mogła się cieszyć tera szczerzej, że Krzysia podobała jej się od pierwszego wejrzenia. Pragnęła od razu wpaść w taki ton, któryby nie raził harmonji zakochanych, ale ją spłoszyło spojrzenie syna. Dostrzegła w nim głęboko utajone cierpienie, które tylko ona jedna potrafiła odgadnąć. Od razu więc zamąciła jej się w głowie przed sekundą jeszcze jasna sytuacja i nie wiedziała, co mówić. Wskutek tego zapanowało chwilowe milczenie, które zmieszało i Krzysię. Tłumaczyła je sobie brakiem zaufania pani Calewiczowej i nagle zwróciła się do niej z rozbijającą serdecznością.

— Zobacz pani, że mnie pani polubi... I będzie pani ze mnie zadowolona.

— Pani nie można nie lubić — uśmiechnęła się Calewiczowa.

— Ale pani o mnie jeszcze nic nie wie.

I Krzysia pośpiesznie zaczęła opowiadać o swojej rodzinie, studjach i planach, czem do reszty ujęła sobie Calewiczowa. Wreszcie przypomniała Stefanowi, że o ósmej ma być u jej ojca i czując, że w tej chwili Stefan powinien zostać i porozmawiać z matką, nie pozwoliła mu się odprowadzić.

Po wyjściu Krzysi pani Calewiczowa nie zadawała synowi żadnych pytań, ani też nie robiła żadnych uwag. Najzwyczajniej w świecie zaczęła przygotowywać obiad. Twarz jej przybrała wyraz zwykłej, codziennej rezygnacji. Stefan zupełnie już sposepniał. Przyglądał się matce i to, że mogła być obojętna i spokojna, kiedy powinna była wiedzieć, co się w jego duszy działo, budziło w nim bezbrzeżną gorycz. I ta gorycz zaczęła się powoli przeradzać w wydobytą z podświadomych wspomnień dziecińczych potrzebę szukania ratunku tylko u matki. Z takim samym nastawieniem uczuciowym, z jakim podsuwał matce skaleczony palec, mówiąc — Niech mama pocałuje, żeby nie bolało — zwrócił się teraz do niej.

— Mamo. Co ja mam zrobić?

— Nie wiem. Sama nie wiem, — odparła zatroskanym głosem, unikając wzroku syna, jakgdyby przez wstyd, że była tak bezradna. — To już ty musisz postanowić.

— Ja! — parsknął Stefan krótkim, zjadliwym śmiechem. — Przecież to już dawno zostało za mnie postanowione.

— Czy mówiłeś z nią o tem?

— Nie.

— Dlaczego?

Pani Calewiczowa miała nadzieję, że gdyby to wszystko, co ona mówiła

bezskutecznie, po-

wtórzyła Stefanowi kochana przez niego dziewczyna, to może potrafiłaby go przekonać i stworzyć mu całą pełnię życia, od której odgradzał się swoim beznadziejnym pesymizmem. Stefan odgadł intencje matki i pograżyło go to w jeszcze większą rozpacz. Uczuł nagle, że są oboje jednakowo bezradni. I smutno się do niej uśmiechnął.

— Poco, marno? Tak byliśmy przynajmniej parę dni szczęśliwi. A gdybym był powiedział, to nie mielibyśmy i tego. Zresztą uważam, że postąpiłem podle, — mruknął po chwili przez zaciśnięte zęby.

— Stefku...

— Podle. Jak najmarniejszy tchórz. Powinienem ją być od razu uprzedzić, a nie wyzyskiwać jej miłości. Tu wyszedł dopiero ze mnie mały, lichy człowiek. Chcę się wyzbyć egoizmu, żeby móc żyć dla innych i zaczynam od najcyniczniejszego wyzysku.

Umilkł i przymknął oczy.

— Jak ja teraz będę żył? Przecież nie popełnię samobójstwa, bo tem bym się jeszcze bardziej spodlił. A czy ja potrafię pracować? Czy będę mógł teraz pracować?

I nagle wybuchnął ze straszną rozpaczą w głosie.

— Niech mnie mama ratuje! Niech mnie mama podtrzyma jakoś, bo czuję, że sam sobie

nie dam rady. Mówię, że nie popełnię samobójstwa, a wiem, że się zabiję!

Pani Calewiczowa zbliżyła się do syna i wzięła go za rękę.

— Słuchaj Stefku — odezwała się twardym, spokojnym głosem. — Powiem ci prawdę. Stefan spojrzał półprzymkniętym na matkę.

— Jaką prawdę?

— O, to bardzo dawna prawda. I bardzo smutna. Właściwie to historią całego mojego życia. I twojego — dodała po chwili milczenia. Będę starała się ciebie ratować. Ale czy nie będziesz miał do mnie żalu...

— Ach, niech mnie mama ratuje!

Calewiczowa wtuliła się w kąt starej otomany i Stefanowi przemknęło przez myśl, że na tem miejscu siedziała niedawno Krzysia. Wydało mu się, że tylko za to bardziej pokochał matkę. Ale ten przeblysłk uczucia roztopił się zaraz w szarej, ciężkiej apatii. Oparł się łokciami o stół, ścisnął skronie i bezmyślnie zaczął się wpatrywać w sinawą przestrzeń przed oknem, na której kontury kominów przedstawiały się jak czarne, nalepione sylwety. Zobojętniał na wszystko i nie uświadamiał sobie nawet tego, że już z góry nie wierzył, aby cokolwiek mogło go uratować. Słuchał matki tak, jak człowiek pochłonięty jakimś nieszczęściem dla odpoczynku mózgu zaczyna słuchać

tykania zegara. Skoro nie miał ratunku, to na cóż mogły się zdać wszystkie opowiadania matki. Coś w rodzaju uśmiechu zamigotało mu nawet w duszy, gdy usłyszał, że matka wraca do panięskich wspomnień. — Dobra... pocziwa... Roztkliwiła go jej bezradność.

— Nawet sama sobie nie mogę wyobrazić, co ja odczuwałam i myślałam dwadzieścia kilka lat temu.

Było to już trzecie, czy czwarte zdanie. Pierwszych Stefan nie słyszał.

Przepadły w strzępach myśli i obrazów, jakie snuły mu się po głowie bezładnie.

Siłą woli skupił uwagę, żeby słuchać matki i próbować poprostu jakby mechanicznie oderwać się od cierpienia.

— Nieraz ci wspominałam, jakie było nasze życie na wsi. Mój ojciec gospodarował i ciułał pieniądze, a matka wychowywała dzieci. Oczywiście po swojemu. Mnie i

siostrze było zapowiedziane, że mamy wyjść zamaż, a braciom, że zostaną przy ziemi. I nikomu z nas na myśl by nie przyszło, że mogło być inaczej. Kiedy się oświadczył o mnie rodzicom mój mąż, od razu zasądzi, że powinnam się zgodzić. Rodzice nas nie tyranizowali — ale wyrastaliśmy w takiej atmosferze, że nikt niczego nie analizował i nie krytykował. Mnie się zdawało, że mój narzeczony bardzo mi się podoba. Byłam uszczęśliwiona, że się przeniosę

do Warszawy i że będę panią inżynierową Calejwiczową. Sądziłam nawet szczerze, że te wszystkie uczucia razem wzięte, to jest właśnie miłość. W parę miesięcy po ślubie mój mąż dostał krwotoku i okazało się, że był oddawna suchotnikiem i miał kawerny w płucach. Zaczęła się wędrówka po najrozmaitszych sanatorjach. Poszły na to wszystkie pieniądze, a po śmierci rodziców leczył się za mój posag. Jedyną pociechą dla niego w tej strasznej chorobie było to, że kuracja najzupełniej wypełniała mu życie. Każde lekarstwo, każda godzina werandowania, nawet mierzenie temperatury stwarzało dla niego nietylko przyjemność, ale poprostu rozrywkę i sanatoryjna egzystencja stała się dla niego niemal ideałem. Ja pozatem, że mu byłam potrzebna jako pielęgniarka, absolutnie nie istniałam dla niego jako kobieta. I dlatego jedynie mogłam przy nim wytrwać, bo od pierwszej chwili małżeństwa wzbudził we mnie nieprzewyciężony wstręt fizyczny. Stefan wyprostował się i spojrzał bystro na matkę. Zmroziła go fala nienawiści i obrzydzenia do ojca. Calejwiczowa nie zauważyła odruchu syna. Wtuliła się jeszcze bardziej w ką otomany i ciągnęła bezbarwnym, przygaszonym głosem.  
— W tej długiej tułaczce zagranicą kilkakrotnie zajeżdżaliśmy do Meranu. Jeszcze mi względnie tam było najprzyjemniej. Mąż mój

leczył się w sanatorium Bindera, a ja mieszkałam w hotelu Bawarja. Był to duży hotel na Obermaise, już pod górą. Pamiętam, jak raz siedziałam na balkonie w gorący wieczór i pokojówka słała mi łóżko. Wyszła do mnie na balkon i pokazała mi po lewej stronie wierzchołków gór rzęsiście oświetloną wieś z ubranym lampionami kościółkiem.

— Niech pani patrzy — powiedziała — zrobili taką śliczną iluminację, bo biskup przyjechał z wizytą. — Dlatego utkwilo mi to tak w pamięci, iż tego samego dnia sprowadził się do hotelu lekarz Polak, który przywiózł do Meranu żonę suchotnicę i umieścił ją też u Bindera. Powiedział mi o tem zaraz właściciel hotelu, gruby Niemiec, bardzo poczciwy. Towarzystwo w hotelu było zresztą bardzo nudne, paru starych profesorów z Wiednia, mały syn bankiera z nauczycielką, jakieś stare panny, wszystko to chore, przesadnie dbające o swoje zdrowie, tak że jak się czasem mocniej w nocy przewróciłam na łóżku, to od razu pukali w ścianę i skarżyli się właściciele, która sakramentalnie po każdym śniadaniu i obiedzie pytała się każdego: — hat es gut gesmeckt? Pani Calejwiczowa mówiła coraz wolniej i widocznem było, że wdaje się w te szczegóły z taldem uczuciem, jakgdyby przeżywała jeszcze raz to wszystko.

— Przywiozłam mego męża wczesną jesienią na dłuższy pobyt. Było bardzo gorąco. Chorzy u Bindera cały dzień weradowali. Brrr! — wstrząsnęła się nagle — w tej chwili właśnie wydaje mi się, że widzę te papierowe spluwaczki, oplute krwią i pestkami od winogron. Żonę tego lekarza Polaka dla towarzystwa położyli na leżaku tuż obok mego męża. Wtedy poznałam tych państwa. Ona była bardzo ciężko chora, miała włóknistą gruźlicę płuc i gruźlicę otrzewnej. Jej mąż przyjechał nienadługo. Dla niego był to zarazem wypoczynek po pracy. Całemi godzinami siedzieliśmy koło naszych chorych, w ciągu dnia wychodząc tylko na jedzenie... Pani Calejwiczowa umilkła nagle. Stefana zaczęło zaciekawiać opowiadanie matki.  
— No i co?

— Ten doktor nazywał się Czarliński... Mąż mój już był wtedy skazany na śmierć. Cudem przeżył tak długo i lekarze mówili, że to już koniec. Wciąż był obłany potem, gorączka spadała i podnosiła mu się po kilka razy na dzień, miał już zaatakowane gardło i mówił z najwyższym wysiłkiem, a stopień jego wyczerpania był taki, że z trudem poruszał ręką. I wciąż żył. Doktor Czarliński, widząc jego stan i zobojętnienie na wszystko, bardzo często namawiał mnie, żebym zamiast siedzieć

w sanatorium, przeszła się gdziekolwiek. Jego żona też była chora beznadziejnie. Oboje z Czarlińskim całymi godzinami chodziliśmy po górach, do winnic, albo wzdłuż Passery. Wtedy wyschła prawie zupełnie i woda tylko cieniutkami strumykami przewijała się wśród skał. Zaraz koło promenady na samą Passerę była kawiarnia... Czasami odpoczywaliśmy tam. A już wieczory, to przegadywaliśmy w nieskończoność u siebie w hotelu.

Stefan uśmiechnął się pobłaźliwie. Wyobraził sobie, że tematem opowiadania będzie jakaś cudowna kuracja człowieka skazanego pozornie na śmierć i że ten przykład miał być dla niego ratunkiem. Matka jego odetchnęła głęboko kilka razy. Chciała mówić, ale głos jej się załamywał. Wreszcie zaczęła jakby z lekką chrypką.

— Zakochaliśmy się w sobie z Czarlińskim bez pamięci. Komuż mogła nasza miłość przeszkadzać? Jego żona umierała i mój mąż umierał. Kiedy po kilku tygodniach Czarliński wyjechał, wiedzieliśmy już oboje, że będziemy mieli dziecko.

Stefan zerwał się z krzesła i jak błędny patrzył na matkę. Pani Calejwiczowa ruchem ręki zabroniła mu mówić.

— Czekaj. Ja już niedługo skończę. Byłam z mężem w Meranie, dopóki mój stan nie zaczął się ujawniać. Pomimo bardzo ciężkiego stanu Czarlińska kazała przewieźć się do domu.

Poprosiłam lekarzy u Bindera, żeby mi pomogli upozorować wyjazd do Warszawy, uprzedzając ich, że wyjeżdżam na poród, ale mój mąż nie powinien nic o tem wiedzieć, bo by nim to zanadto wstrząsnęło. Wtedy przed przejazdem do Petersburga była w Warszawie twoja ciotka. Zamieszkałam u niej i w kilka tygodni po twoim przyjściu na świat wróciłam do Meranu. Mąż żył jeszcze dwa tygodnie... Byłam tak szczęśliwa, że mam ciebie, że jestem wolna, że skończyła się moja męka, że nie uświadamiałam sobie tych cierpień, które na mnie czekały. Z Czarlińskim widywaliśmy się rzadko, bałam się, żeby przez wzgląd na ciebie nie padł na mnie nawet cień podejrzenia. On postanowił rozejść się z żoną... Z początku nie mógł jej mówić o rozwodzie, bo uważano ją za umierającą. Potem, niespodziewanie zaczęła zdrowieć. Ale na wszystkie jego błagania odpowiadała stale — pocóż ci rozwód, kiedy ja niedługo umrę. Wtedy sobie na nowo życie urządzisz. — Ani sekundy nie byłabym się wahała, żeby zamieszkać z tym moim kochanym człowiekiem, gdyby nie to, że świat wymaga, żeby kobieta była konwencjonalnie moralna i, mając obowiązki względem dziecka, nie gorszyła ludzi. Czekaliśmy aż dorośniesz i tybyś zdecydował, czy możemy być wszyscy razem. Twój ojciec umarł... Zaraził się od chorego

szkarlatyną... Miał na imię Stefan. Największym dla niego szczęściem było, gdy cię mógł zobaczyć. Zamały byłeś, żeby go pamiętać!... Był śliczny, zdrowy, dorodny, mądry i uchodził za znakomitego lekarza. Pragnął, żebyś i ty był lekarzem. Jego żona żyje.

Stefan ukląkł przed matką i zaczął ją całować po rękach.

Na twarzy Calejwiczowej, wzburzonej i całej we łzach, zaczynał już majaczyć zwykły wyraz spokojnej rezygnacji. Ujęła głowę syna i mówiła, patrząc mu w oczy.

— Widzisz... Tyle lat znosiłam najstraszniejsze męki, patrzałam, jak rozpaczasz,

godzinami słuchałam, jak mówiłeś o twojej śmierci... Nigdy nie gorączkowałeś, nie kaszlałeś, wszyscy lekarze powtarzali ci, że jesteś zdrowy, a ty opętany swoim urojeniem nie chciałeś im wierzyć. Wmówiłeś w siebie dziedziczną gruźlicę i ja umierałam z twogi, widząc, jak z jakimś fanatycznym uporem robiłeś wszystko, żeby się choroby nabawić. I poddawałam się tym wszystkim torturom, bośmy sobie przysięgli z twoim ojcem, że jak dorośniesz to on ci to powie. Tu nie o mnie chodzi! — wybuchnął Stefan. — Ale jakżeż mama mogła mnie tak nie znać. Ja przecież mamę zawsze uwielbiałem, a teraz za te wszystkie męki stokroć bardziej cenię mamę i kocham! I jeszcze

więcej mamie powiem. Z całego serca, z najgłębszego przekonania! Miała mama prawo tak zrobić! Powinna była mama tak zrobić!

— Czekaj Stefku — odezwała się cicho pani Calewiczowa. — Muszę ci pokazać fotografię twojego ojca. To jest mój pierwszy dzień szczęśliwy od jego śmierci. Zbliżyła się do komody, wysunęła dolną szufladę, zapchaną najrozmaitszemi rupieciami, i po chwili wydobyla z samego dna zwitek jakichś bezwartościowych koronek. Rozwinęła je i wydobyla fotografię i kilkanaście listów. W milczeniu podsunęła je Stefanowi.

— Nie, nie będę czytał — odparł Stefan wzruszonym głosem. — To były listy tylko do mamy. Nie do mnie.

— Jest tu i do ciebie dopisek.

Na jednym z listów było dopisane u dołu kartki większymi literami pod zakończeniem: — twój Stefan. — Pilnuj synku mamusi, żeby się nie martwiła i żeby ci nie pozwalała grymasić przy tranie.

— Miałeś w tedy dwa lata — dodała pani Calewiczowa.

Stefan odsunął list i przez lzy spojrział na fotografię ojca. Poznał siebie. Te same zrosnięte brwi, ta sama budowa czoła, ten sam rysunek nosa i ust.

— Niech mi mama odda tę fotografię.

— Dobrze, dziecko.

I zawijając listy z powrotem w koronki, pani Calewiczowa dodała.

— Widzisz. Taką skrytkę obmyśliłam sobie. Gdyby jaka babina, myjąc mnie po śmierci, znalazła ten zwitek i zabrała, toby spaliła listy, bo cóżby jej z nich przyszło. A gdybyś ty porządkował rzeczy po mnie, tobyś także te koronczyny w piec rzucił i nawet by ci na myśl nie przyszło, żeby je rozwijać.

Stefan znów zaczął całować matkę po rękach.

— Wybacz mi te wszystkie męki, najdroższa moja. Nie moja wina, że żyłem w tym lęku przed śmiercią i przed chorobą, ale jaki ja byłem podły i słaby, że ciebie tak męczyłem! Zobaczysz, jak się teraz zmienię. Już całe życie swoje poświęcę tylko tobie i medycynie.

— No, a twoja miła Krzysieńka?

— Ja potrafię zapanować nad miłością dla Krzysi. Ja chcę żyć tylko dla mamy! Chcę, żeby mama była nareszcie szczęśliwa.

Pani Calewiczowa popatrzyła z uśmiechem na syna.

— Znowu zaczynasz? Ja będę wtedy dopiero szczęśliwa, gdy tobie będzie dobrze.

## XI.

To, co odczuwał Witecki obserwując Krzysię, było jakby pobłażliwym zdumieniem. Oddawna już traktował córkę poważnie, jak dorosłego człowieka, ale teraz dopiero odkrywał w niej kobietę. Krzysia bardzo chytrze pozbyła się z domu matki i siostry. Od rana udawała, że ma tak szaloną ochotę na pójście do teatru, aż zaraziła tem Hełę, zawnazasi ją wyprawiła po bilety, ubrała się w strojną sukienkę i nagle przed samem wyjściem wpadła w desperację, że będzie musiała

zostać w domu, żeby przepisywać dla ojca jakieś bardzo ważne akty, o których na śmierć zapomniała. Wszystkie te kłamstwa umiała podać z taką swobodą i wdziękiem i tak przymilnie wypytywała się ojca, czy nie możnaby tego przepisywania odłożyć, że pani Witecka, idąc do teatru, żeby się bilet nie marnował, nie domyślała się podstępu i w cudownym humorze stawiała Heli Krzysię, jako

wzór sumiennego pojmowania obowiązków. Ponieważ wogóle Krzysia nie umiała udawać, ani kłamać, więc Witeckiego ubawił ten jej zwierzęcy instynkt zacierania śladów. Kiedy zostali sami, w ciągu dziesięciu minut potrafiła nadać mieszkaniu jakiś inny, jakby zalotny wygląd. Witecki mógł stwierdzić tylko to ogólne wrażenie i podziwiał nikłość sposobów, jakimi Krzysia je wywołała. Tu przesunęła krzesło, tam przerzuciła poduszki na otomanie, postawiła jakieś kwiaty, rozsypała na stoliku cukierki, rozświetlając jeden pokój i ściemniając sąsiedni, ogarnęła mieszkanie w zaciszną a strojną i ciepłą całość. Nie wiadomo kiedy powietrze stało się wonne od zapachu delikatnych perfum, kobiecości i pomarańcz, jakby przez roztargnienie zostawionych w koszyku na krześle. Witecki przyglądał się z coraz większą uciechą, jak Krzysia otworzyła nienapoczętą butelkę koniaku, wlała połowę do jakiejś karafki i potrafiła butelkę tak ustawić, że była niewidoczna, a pod ręką. — I my się na to zawsze dajemy złapać — pomyślał z uśmiechem. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego Krzysia na to pierwsze przyjście Stefana postanowiła pozbyć się matki i siostry. Podświadomie chciała być jedyną samica. Ojciec nie przeszkadzał, bo był z tego gatunku, który jej był potrzebny. I Witecki od razu zsolidaryzował się z córką.

— Poco tu baby.

Bo tylko Krzysia była dla niego wcieleniem kobiety. Czujnej, przebiegłej, wabiącej i nastawionej ku obronie swojego samca. Coraz jaśniej rozumiał, że wejście Stefana w życie Krzysi stało się faktem nieodwołalnym. Wiedział już, że wszystkie protesty byłyby bezsilne. Opór z jego strony, albo ze strony matki pchnąłby tylko Krzysię w stosunek ze Stefanem bez względu na formę. I czując wobec tego całą swoją bezsilność, ufał tylko jej instynktowi, w który głęboko wierzył. Pozatem, doznawał wrażenia, że ją coraz bardziej kochał, mimo iż dokładnie zdawał sobie sprawę, że narazie istniał dla córki tylko jako pewien rodzaj uzupełnienia szczęścia. Sam ograniczył więc swoją rolę do oczekiwania sposobności, w których mógłby być potrzebny.

Krzysia zapowiedziała wizytę Stefana na godzinę ósmą. Tymczasem dochodziła dziewiąta, a jego jeszcze nie było.

Witecki podziwiał naturalność, z jaką Krzysia udawała spokój. Bardzo starannie robiła notatki z rozłożonych przed nią skryptów i mogło się zdawać, że tylko to ją całkowicie pochłania. Kilka razy zauważył jednakże, jak ukradkowo spoglądała na zegar. I mimo zniecierpliwienia zachwycał się jej taktyką. Opancerzyła się przeciwko całemu światu i nie

dopuszczała do żadnych uwag. Spóźnia się Stefan? Tak być powinno. Wszystko w porządku. A jeśliby miało dojść z tego powodu do wyjaśnień, to tylko między nimi dwójkiem. Pozatem, nikt nie miał prawa się wtrącać.

— Biedna mała kurka — pomyślał z czułością.

Ale po chwili się odezwał.

— Słuchajno-dziewczyno. Ja cię uprzedzałem, że mam dziś tylko godzinę czasu.

Wiesz doskonale, jakie ważne sprawy na mnie czekają.

I chcąc jej zrobić przyjemność i zaznaczyć, że uważa ją za najważniejszą osobę w danym razie, dodał z pozorną bezradnością.

— Co ja mam robić? Jak uważasz?

— A dużo czasu ci zajmie to posiedzenie?

— Do jakiejś jedenastej.

— Szkoda. Ale idź.

Krzysia wyprowadziła ojca do przedpokoju. Nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego Stefan chociaż nie zatelefonował, ale broniła się przed lękiem. I kiedy ojciec wyszedł, uczyła się nagle tak osamotniona, że przez chwilę nie zamykała drzwi, wsłuchując się w odgłos kroków z tym miłym wrażeniem, że był jeszcze blisko. W połowie schodów Witeckiego potracił jakiś młody człowiek, który pędził na górę, przeskakując po trzy stopnie naraz. Pośpieszne — przepraszam — doleciało Witeckiego już

z wyższego piętra. I zaraz potem usłyszał radosny głos córki.

— Stefek! Jesteś! A tatuś musiał wyjść... Ale to nic nie szkodzi.

To — nic nie szkodzi — zatrzymało Witeckiego, który już zawracał, żeby z powrotem wejść na górę. Uśmiechnął się pobłażliwie. Narazie, nie był im potrzebny.

— Tej parze głuptasów się zdaje — myślał na ulicy — że dążą do jakiegoś szczęścia. A oni właśnie tylko teraz są u szczytu szczęścia. Nie trzeba im ani jednej chwili ujmować. I tak jutro chłopaka poznam! Niech się tam nim ucieszy ta rozczapierzona kurka.

I nagle drogą nieuchwytnych dla świadomości skojarzeń ocknął się w nim obraz letniego popołudnia w Saskim Ogrodzie i spotkanie z kolegą Przeclawskim. Następnego dnia dowiedział się dopiero, że Przeclawski wracał wówczas od lekarza i miał zamiar odebrać sobie życie. Zadzierżnęło się wtedy przeznaczenie, które wykrętnymi drogami przez jakąś półgłupią istotę, ofiarę choroby Przeclawskiego, doprowadziło dwoje ludzi do szczęścia. Zawdzięczali je temu, że jakiś obcy, nieznanym im pan Przeclawski zaraził się przed trzydziestu laty nieuleczalną chorobą.

\* \* \*

Stefan całował Krzysię. Rozkochana dziewczyna przyłgnęła do niego mocno i przez chwilę świadomość jej wypełniło tylko to wrażenie, że biodrem dotykała jego biodra. Tak przywarta, weszła z nim do swego pokoju.

— Tu będziemy mieszkali — powiedziała szeptem, jakby jakąś uroczystą tajemnicę, której nigdy nie mieli przed nikim zdradzić.

Stefan roześmiał się krótkim radosnym śmiechem, który dla niego samego zabrzmiał nowym nieznanym dźwiękiem.

I zadziwił się sam sobie.

— Tak się śmieje szczęśliwy człowiek.

Krzysia rozświetliła lampę u sufitu i błękitnawy półmrok pokoju zmienił się nagle w jaskrawą jasność. Uniosła obiema rękami boki sukni i wykonała przed Stefanem dziecinnie uroczysty dyg.

— Jakżeż się szanownemu panu podoba apartament Stefana i Krystyny Calewiczów?

— Wspaniały!

A ja jak się szanownemu panu podobam?

— A ja? — roześmiał się Stefan.

Krzysia znowu dygnęła.

— Muszę pana obejrzeć. Nigdy się panu nie przypatrywałam. — I nagle spoważniała. Na ustach drżał jej jeszcze uśmiech, a oczy już

spozstrzegły, że twarz Stefana nie jest tą dawną twarzą, jakiej obraz miała w sobie wchłonięty.

— Ale ja naprawdę chyba ci się nigdy dobrze nie przyjrzałam — odezwała się niepewnym głosem. — Taki mi się wydajesz inny...

— Bardzo, bardzo szczęśliwy.

I znów błysnął uśmiechem. Szła od niego w precudownej harmonji siła młodości, namiętności i zarazem jakby odblask jego pracy nad sobą i ofiarnych rozmyślań, uduchowanie. Wstrząsające wrażenie, jakie wywarło na nim opowiadanie matki, przeobraziło się odrazu w najczystsze intencje. Czując się zdrowym i jakby wróconym życiu, tembardziej pragnął poświęcić się ratowaniu ludzkości od gruźlicy. To było jego pierwsze uroczyste ślubowanie w nowem istnieniu. Z przedziwną radością myślał o tem, że i jego ojciec był lekarzem rozkochanym w powołaniu i dodawało mu to wiary, że zdoła spełnić swój obowiązek. Nie myliło go przecucie, że posiadał zamiłowanie do medycyny we krwi i drogocenną dziedziczością stała się nie zmora śmiertelnej choroby, ale zarodek sił, które właśnie miały rozwinąć w nim pełnię życia. I jakgdyby serdeczna modlitwa do duszy ojca wybiły mu się nagle z chaosu myśli nieme słowa.

— Przynajmniej ci, że cię nie zawiodę. — Wiedział uczuciem głębokiem i gorącym, że

duch ojca nigdy go nie opuści i że zawsze będzie się mógł o niego oprzeć.

Wszystko to skupiło się nagle w tklivem współczuciu i uwielbieniu dla matki.

Kiedy tak stał, zapatrzony przed siebie z rozmarzeniem w oczach i pałającymi ustami, usłyszał głos Krzysiu.

— Ach, jaki ty dzisiaj jesteś śliczny!

— Krzysiu. Ja niezmiernie moją matkę kocham. Musimy być dla niej oboje dobrzy. Prawdziwie, głęboko dobrzy.

Krzysia zrozumiała, że Stefan szczęściem swoim ogarniał i matkę. I odrazu pokochała ją sama. Odpowiedziała mu potakującym skinieniem głowy z taką energiczną solennością, że bujna grzywa rozsypała się po czole. Doznał wrażenia, jakgdyby serce mu się zacisnęło w bezgranicznym zachwycie. Wyciągnął ręce i objąwszy Krzysię, ustami zaczął zgarniać jej z nad brwi wzburzone, kędzierzawe włoski. Czuł, jak mu drżała w objęciach. Nagle zachwiała się i chcąc chwycić równowagę, machinalnie przysiadła na brzegu łóżka. Uczuła na szyi gorący oddech Stefana, którego pociągnęła za sobą. On już nie panował nad zmysłami. Ale po chwili odsunął się i zapytał roztrzęsionym głosem:

— Krzysiu, czy ty wiesz, czego ja chcę? Krzysia przymknęła oczy, jakgdyby zamarła. Potem odpowiedziała bardzo spokojnie.

— Wiem.

— Dobrze wiesz?

— Wiem.

— Zgadzasz się?

Walczyła z lękiem. Tak być musiało. Przecież nietylko się zgadzała, ale pragnęła sama. Chciała odpowiedzieć i nie mogła wydobyć głosu. Stefan ujął ją mocno za rękę.

— Boisz się?

— Nie.

— I zaufasz mi? Chcesz być moją?

Krzysia przyłgnęła ustami do jego ust. Jej wielka miłość zapanowała nad uczuciem wstydu. Z całą świadomością i rozkoszą oddała się ukochanemu człowiekowi.

Poniosły ich młodzieńcze zmysły, krew rozgorzała zdrową radością. Upojenie Stefana opętało i Krzysię i ociężała słodyczą, jak plaster miodu.

Długą chwilę leżeli w milczeniu. Mówiły za nich echa urywanych, gorących szeptów. Wreszcie Krzysia, pochylając nad kochankiem poblądła twarz, w której jakby w zwierciadle odbijało się jego zmęczenie, odezwała się cicho

— Już odejść. Dziś chcę cię mieć tylko dla siebie.

KONIEC.

